MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 44. WARSZAWA, 14 PAŹDZIERNIKA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

RADJO A KONSTYTUCJA

ZDAJE się, że to bolszewicy pierwsi wpadli na pomysł zużytkowania radja w polityce międzynarodowej, kiedy zapomocą swych odezw, skierowanych „*wsiem, wsiem, wsiem*", próbowali ponad głowami rządów dotrzeć bezpośrednio do zmęczonych wojną mas ludowych we wszystkich krajach i w ten sposób wywrzeć nacisk na wrogie rządy w pożądanym dla siebie kierunku. Pomysł był dobry, tylko środki techniczne nie stały jeszcze na wysokości zadania: nie było jeszcze zorganizowanej tak jak dziś radjofonji i wezwania bolszewickie ginęły przeważnie w pustce. Dziś natomiast to nowe narzędzie porozumienia jest wydoskonalone i nic nie stoi na przeszkodzie coraz szerszemu jego użyciu. Prezydent Roosevelt zapomocą radja wyjaśnia bezpośrednio swe zamierzenia dziesiątkom miljonów obywateli, szef rządu francuskiego p. Doumergue, powziąwszy przekonanie o konieczności zmian w konstytucji, znalazł również w radju środek bezpośredniego odwołania się do całego narodu, z dobrym, jak słychać, skutkiem.

Jedno ze swych przemówień przez radjo poświęcił sprawie urzędniczej i przedstawił niebezpieczeństwa, płynące z tego, że bardzo znaczna część urzędników francuskich należy do organizacyj przewrotowych i podkopuje w ten sposób państwo, któremu jest obowiązana służyć. Przemówienie to spotkało się z aprobotą opinji, ale niektóre dzienniki słusznie zarzuciły rządowi bezczynność, bo jeżeli tak jest, jeżeli urzędnicy istotnie sprzeniewierzają się swoim elementarnym obowiązkom, to rząd powinien przecież wystąpić z karami; czemu więc nie karze winnych, czemu rodzice muszą się uciekać aż do bojkotu szkoły, żeby po długich miesiącach uzyskać usunięcie nauczyciela-komunisty, wpajającego dzieciom tego rodzaju wskazania, że, jak dorosną, nie powinny słuchać rozkazu mobilizacyjnego, i czemu ten usunięty nauczyciel, zamiast dymisji, dostaje zwykle przeniesienie na lepszą posadę? Czemu rząd nie karze winnych? Bo jest zależny od partyj, które tych winowajców popierają. Wypłynęła więc tu znów kwestja, koło której obracają się wszystkie krytyki demokratycznych rządów i usiłowania zmiany stosunku władz państwowych do siebie.

Z lektury dziecinnej przypominam sobie książeczkę, traktującą o dobrym monarsze Harun-al-Raszydzie, który rozmaitemi sposobami starał się usunąć mur, oddzielający go od poddanych, poznać ich potrzeby i surowo występował przeciwko krzywdzicielom ludu. Był tam obrazek, przedstawiający piekarzy, poprzybijanych za uszy do drzwi własnych sklepów: taką karę wymyślił władca za niesłuszne podwyższanie cen chleba. Dziś pewno takie opowiadanie byłoby ze szkoły usunięte, bo jakże można byłoby jego morał pogodzić z tolerancją, a nawet popieraniem wszelkiego rodzaju zmów i karteli? Trudno przecież przyznać się do tego, że dziś kartele niejednokrotnie rządzą państwami, lub też uzyskują tolerancję wzamian za usługi, o których głośno się nie mówi. Pozwolę tu sobie na małą dygresję. Rok temu został u nas rozwiązany kartel cementowy. Poprzedziła to zarządzenie rozprawa sądowa, na której przedstawiciele kartelu utrzymywali, że ceny cementu są tak niskie, iż niżej zejść niepodobna, gdyż cały przemysł zbankrutuje, wzrośnie bezrobocie, spadnie wywóz i t. d. Statystyka z pierwszego półrocza po rozwiązaniu kartelu wykazuje spadek cen o 60%, t. zn. to, co kostowało dawniej złotego, kosztuje dziś tylko 40 groszy, produkcja wzrosła dwa i pół raza, żadna z fabryk nie zbankrutowała, owszem, uruchomiono parę z tych, które przy kartelu były nieczynne. Jasne jest, że kartelowcy podawali sądowi fałszywe dane i przez długi czas obdzierali konsumentów ze skóry. Podobnie ma się rzecz z cukrem: cena została obniżona o 25%, a mimo to nie słychać o tem, żeby który z cukrowników wyskoczył z nędzy oknem drapacza chmur na bruk. Nie słychać też o tem, żeby koło drzwi biur dawnego „Centro-cementu" stał, przybity za ucho, któryś z dyrektorów. Dzieci w szkole miałyby więc prawdziwy zawód.

Ale wróćmy do tematu. Przeciwko demokracji parlamentarnej wysuwa się z wielką słusznością

zarzut, że między władzą a społeczeństwem wyrasta mur maszyny partyjnej i wykoszlawia ideję i zalety „rządów ludu przez lud i dla ludu". Maszyna partyjna działa często pod wpływem osobistych interesów i ambicyj jednostek, często pod wpływem zachłannych ugrupowań finansowych czy przemysłowych, nieraz jest inspirowana z zagranicy i w ten sposób staje się przyczyną katastrof wewnętrznych i zewnętrznych. Reformatorzy, a między nimi i p. Doumergue, chcieliby ułatwić bezpośredni kontakt rządów z opinją publiczną przez łatwiejsze rozwiązywanie izb ustawodawczych i poddawanie w ten sposób z jednej strony spraw spornych plebiscytowi, z drugiej zaś ustanowienie hamulca na zbyt wybujałą politykę partyjną. Reforma taka może oczywiście okazać się skuteczna, ale jasne jest, że plebiscytów takich niepodobna zbyt często stosować, stanowią one zawsze wstrząs w życiu społeczeństwa. Myślę, że nowy środek porozumienia, jaki mamy w radju, jest w stanie w znacznej części takie plebiscyty zastąpić, a w każdym razie skutecznie je uzupełnić.

Wskazuje się niejednokrotnie na to, że demokratyczne rządy działały dobrze w republikach antycznych, do czasu, kiedy społeczności te pozostawały skupieniami małemi, podobnie rzecz się ma w dzisiejszych gminach, a nawet w tworach nieco większych, jak np. kantony szwajcarskie. W tych wypadkach wszystkie sprawy są obywatelom dobrze znane, możliwa jest więc wzmożona czujność wobec interesu publicznego, pozatem, w myśl przysłowia: „wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi", ocena ludzi jest prawdziwsza, demagogja trudniej się zagnieżdża. Myślę, że możliwość bezpośredniego kontaktu drogą radjową pomiędzy rządzącymi a rządzonymi upodobnia stosunki w dzisiejszych wielkich skupieniach do dawniejszych małych. Może więc ten nowy postęp techniczny przyczyni się do rozwiązania problemu, nad którym biedzi się bezskutecznie wiele umysłów. Doświadczenie mamy dotychczas bardzo nikłe, słychać jednak głosy, że bez radja Roosevelt nie byłby w stanie prowadzić swej polityki. Lepszą próbą będzie może przebieg walki o reformę konstytucji we Francji, gdzie oczekiwać należy zaciętego oporu izb parlamentarnych przeciwko umiarkowanym, w gruncie rzeczy, propozycjom Doumergue'a. Zobaczymy, czy bezpośrednie oddziaływanie popularnego męża stanu wyrośnie na skuteczną przeciwwagę demagogji.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

JAPONJA A HANDEL ŚWIATOWY

JAPONJA jest obecnie w modzie. Niewątpliwie także i w innych dziedzinach, ale przedewszystkiem w dziedzinie handlu międzynarodowego.

Pamiętamy dobrze, jak nie tak dawno jeszcze wszyscy pisali o groźnym *dumping*'u sowieckim. Rzeczywiście Rosja wykazała w pewnym okresie wzmożoną ekspansję handlową, zalewając swoim tanim towarem wiele rynków europejskich. Wywołało to odpowiednią reakcję w kierunku ograniczeń eksportu sowieckiego przez poszczególne państwa. Odpowiednie zarządzenia poprzedziła w większości wypadków szeroka dyskusja prasowa. W szczególności zarzucano Sowietom, zwłaszcza w Anglji, że taniość swego towaru zawdzięczają specjalnemu systemowi pracy, który z wielu stron upodobnia się do dawnego niewolnictwa.

W chwili obecnej sprawa *dumping*'u sowieckiego poszła w zapomnienie. Natomiast wysunęła się z kolei sprawa wywozu japońskiego, który w ostatnich czasach odnosi niezwykłe sukcesy.

Jest rzeczą charakterystyczną, że w okresie, kiedy we wszystkich krajach nastąpiła dalsza depresja wymiany międzynarodowej, która spadła na całym świecie bardzo poważnie, obrót zagraniczny Japonji uległ, jeśli idzie o cyfry wagi, podwojeniu. Przemysł japoński, nie zadowalając się już zdobytemi rynkami zbytu, wyruszył na podbój nowych. W szczególności korzystnie zaznaczyły się pierwsze cztery miesiące roku bieżącego.

Wzrost eksportu nastąpił prawie na wszystkich rynkach zbytu, aczkolwiek w różnym stopniu. I tak: eksport do Azji Środkowej wzrósł w ciągu 2 ostatnich lat o 183 proc., do Chin, Indyj i Archipelagu Malajskiego o 10 proc., do Europy o 56 proc., do Ameryki Środkowej o 276 proc., do Ameryki Południowej o 56 proc., do Ameryki Północnej o 10 proc., do Afryki o 5 proc. i do Oceanji o 9 proc. Jak widać — tempo naprawdę zastanawiające.

Inna rzecz, że ekspansja handlowa Japonji osiągnęła prawdopodobnie swój punkt szczytowy, z uwagi na przypuszczalną kontrakcję. W Europie i Ameryce Północnej przemysł japoński natrafia na coraz większe przeszkody, głównie w związku z powszechnym rozwojem zasady kontyngentowania importu, jako nowego instrumentu polityki handlowej w świecie. Ostatecznie jednak wszelkie przepowiednie są rzeczą niepewną, a z drugiej strony dotychczasowy wzrost eksportu Japonji jest tak charakterystyczny, że zasługuje na specjalne omówienie.

Eksport japoński sukcesy swoje zawdzięcza konkurencyjności swego towaru, nietyle w zakresie jakości, która niejednokrotnie pozostawia sporo do życzenia, ile w zakresie ceny. Jest on poprostu niezwykle tani. Tu też leży tajemnica rozwoju przemysłu wywozowego Japonji.

Ale dlaczego przemysł japoński jest w możności tak tanio sprzedawać? Jakie są owe istotne przyczyny jego siły kokurencyjnej? Powszechnie przyjmuje się, że jest ich trzy: a) dewaluacja jeny, b) nielojalna konkurencja wobec kupców zagranicznych, c) niskie płace robotników przemysłowych. Każdej z tych kwestyj poświęcimy słów parę.

Mówi się przedewszystkiem o dewaluacji jeny. Wiadomo, że obniżenie wartości pieniądza może działać w pewnych warunkach jak premja wywozowa. Niewątpliwie też dokonany w swoim czasie spadek jeny przyczynił się do ekspansji towaru japońskiego w świecie. Ale tylko w pewnym stopniu. Nie wolno bowiem zapominać, że przemysł japoński jest przemysłem wybitnie przetwórczym, opartym na przywozie z zagranicy surowców. Mamy więc i odwrotną stronę medalu: zmniejszeniu siły nabywczej jeny odpowiada proporcjonalne podrożenie surowców.

Oficjalne dane statystyczne, dotyczące wywozu japońskiego, nie stwierdzają jego wzrostu w ciągu ostatnich dwu lat. Ale chodzi tu oczywiście tylko o cyfry wartości, a nie o cyfry ilości towaru czyli wagi. Jak już wspomnieliśmy, ilość towarów wywożonych zwiększyła się bardzo gwałtownie. Innemi słowy, przemysłowcy japońscy, dla osiągnięcia z eksportu poprzednio uzyskiwanych albo i niższych sum pieniężnych, zmuszeni są wywozić obecnie znacznie więcej towarów, co też w rzeczywistości na dużą skalę uskuteczniają. W tych warunkach utrwaliło się przekonanie, że eksport Japonji musi się opierać na wydatnej pomocy finansowej państwa, że organizuje ono generalny *dumping* ze szkodą dla innych krajów.

Jest to jednak pogląd niesłuszny. Z jednej strony bowiem należy wziąć pod uwagę fakt, że przecież ceny surowców w świecie potaniały bardzo znacznie, z drugiej strony zaś, że siła nabywcza jeny na rynku wewnętrznym, pomimo deprecjacji jeny zagranicą, nietylko nie zmniejszyła się, ale przeciwnie, wzrosła — według oficjalnej statystyki japońskiej — zgórą o 5 proc. Tutaj też szukać należy wytłumaczenia, dlaczego przemysł japoński może obniżać swoje koszty produkcji i swoje ceny eksportowe. Ale to, oczywiście, nie wyjaśnia jeszcze wszystkiego.

Żeby wyczerpać temat „*dumping*'u", należałoby jeszcze odpowiedzieć na pytanie, dlaczego niektóre towary japońskie są tańsze w eksporcie, niż na rynku wewnętrznym. Rzecz dosyć prosta: różnica w cenie tłumaczy się zwrotem cła przywozowego od surowców, które w formie fabrykatów zostają spowrotem z Japonji wywożone.

Drugą generalną przyczyną taniości towaru japońskiego, jest, poza skutkami dewaluacji jeny, ograniczenie do *minimum* pośrednictwa obcego. Japończycy dążą przytem w dziedzinie handlu międzynarodowego do tego, do czego zmierzają wszelkie spółdzielnie na rynku wewnętrznym: do sprzedaży w detalu równie tanio jak w hurcie. Ta też zasada jest przedewszystkiem źródłem niepokoju w kołach handlu pozajapońskiego, w praktyce bowiem niweczy to, co stanowi podstawę normalnej kalkulacji: jednolitość ceny. Na porządku dziennym zdarzają się wypadki, że np. hurtownik z Indyj Holenderskich zakupuje w Osaka pewną ilość towaru za cenę, uznaną przez siebie za korzystną, a zaraz potem dowiaduje się, że ta sama fabryka sprzedała komuś innemu towar w tym samym czasie jeszcze taniej. Co więcej, przywiózłszy towar na miejsce stwierdza, że po cenie jego zakupu sprzedaje się tamże takie same produkty, niekiedy po cenie jeszcze niższej. Wszystkie te zjawiska ochrzczono ogólną nazwą „nielojalnej konkurencji" japońskiej. Nazwa nieprzyjemna, cóż kiedy metoda bardzo, jak widać, skuteczna.

Trzecią wreszcie generalną przyczyną taniości towaru japońskiego są nizkie płace robotników przemysłowych. Niewątpliwie zarobki i poziom życia japońskiego robotnika fabrycznego są znacznie niższe, niż w większości krajów europejskich, czy też w Ameryce. Daje to wybitną przewagę przemysłowi japońskiemu. Jeśli bliżej zanalizujemy wszakże warunki pracy w Japonji — okaże się, że owa przewaga może być w przyszłości jeszcze bardziej wyzyskana. Chodzi o to, że zarobki robotników fabrycznych są w porównaniu do zarobków rękodzielników, czy chłopów, stosunkowo bardzo wysokie. Przeciętnie bowiem robotnik fabryczny zarabia conajmniej 1 jenę 30 sen. (6.50 fr. fr.) dziennie, podczas gdy zarobki dzienne pozostałych kategoryj wahają się w granicach tylko 40 — 50 sen. Co to oznacza? To, że przemysł zawsze może pójść po linji obniżenia płac, które i po ewentualnej redukcji będą jeszcze b. atrakcyjne z uwagi na dużą obecnie rozpiętość zarobków między wspomnianemi kategorjami. W każdym razie uznać trzeba, że możliwości konkurencyjne przemysłu japońskiego pod tym względem nie zostały jeszcze całkowicie wyzyskane.

Omówiwszy trzy główne źródła taniości towaru japońskiego — nie wolno nam nie wspomnieć i o czwartym, doniosłym czynniku. Jest nim własna flota handlowa, tak potężna, że zdolna conajmniej do całkowitej obsługi własnego handlu, a nietylko wywozu. Oznacza to w praktyce możność dowolnego ustalania frachtów, odgrywających, jak wiadomo, zasadniczą rolę w kalkulacji sprzedaży.

W ten sposób przedstawiliśmy w najogólniejszych zarysach całokształt zagadnienia. Eksport japoński zagraża rzeczywiście wielu przemysłom świata, nawet na ich własnych, krajowych rynkach. W tym ostatnim wypadku walka z konkurencją japońską nie wydaje się zbyt trudna, zawsze bowiem zastosować można mechaniczne ograniczenia przywozowe, nietyle w drodze zwiększenia ochrony celnej, bo to byłoby niepraktyczne, ile w drodze kontyngentowania. Ale jest przecież jasną rzeczą, że nie tutaj leży punkt ciężkości problemu. Konkurencja japońska groźna jest dopiero na wspólnych rynkach zbytu, z których wypiera inny towar swoją bezprzykładną taniością, zwłaszcza że nierealne są nadzieje, aby zainteresowane państwo importujące chciało tamować przywóz tańszego towaru japońskiego.

Oczywiście, najbardziej zagrożone w swych interesach wywozowych są Wielka Brytanja i Stany Zjednoczone.

ANDRZEJ DROHOMIRECKI

DZIEDZICZNOŚĆ

W OBECNYCH czasach, gdy tak dużo mówi się o rasizmie, o czystości rasy i o wpływie czynników dziedzicznych jednej rasy na cechy innej, nie od rzeczy będzie zastanowić się nad temi właśnie czynnikami dziedzicznemi, wywołującemi powstawanie tej lub innej cechy, i nad prawami, rządzącemi ich przekazywaniem, t. j. krótko mówiąc, nad prawami dziedziczenia [1]). Prawa te zyskały obywatelstwo w nauce stosunkowo niedawno, bo od 1900 r., chociaż odkryte były znacznie wcześniej. Odkrywcą ich był

¹) Artykuł niniejszy nie ma pretensyj do wyczerpującego przedstawienia wszystkich zagadnień, związanych z dziedzicznością. Jest on tylko szkicem, dającym możność ogólnego zorjentowania się w główniejszych prawach i zagadnieniach genetyki.

Grzegorz Mendel, zakonnik śląski, który w 1865 r. ogłosił wyniki swych prac nad krzyżowaniem różnych odmian grochu. Epokowa ta praca przez długie lata, bo aż do 1900 r., pozostawała nieznaną ogółowi uczonych i dopiero w tym roku trzej uczeni: de Vries, Correns i Tschermak, doszedłszy do tych samych, co Mendel, rezultatów, wydobyli z ukrycia pracę genjalnego zakonnika.

Mógłby ktoś, dalej stojący od nauk przyrodniczych, wyrazić zdumienie, że mówiąc o ustaleniu ogólnych praw dziedziczenia, taki wielki nacisk kładę na prace Mendla, który w swojej pracy z 1865 r. zajmował się krzyżówkami grochu, a przecież groch, to nie cała przyroda; czyż można więc wyniki, otrzymane na grochu, uogólniać na wszystkie organizmy żyjące? — Otóż, od czasów ponownego odkrycia praw, ustalonych przez Mendla, nauki przyrodnicze zdołały stwierdzić ogólną ich wartość dla całego szeregu objektów, tak roślinnych, jak i zwierzęcych, co zresztą było do przewidzenia, biorąc po uwagę wszystko, co wiemy o zasadniczej zgodności najsubtelniejszej organizacji „substancji żywej", t. j. tej substancji, z której zbudowane są wszelkie organizmy żywe na naszej planecie. — Prawa więc ustalone dla dziedziczenia cech grochu mogą być z powodzeniem zastosowane również i do człowieka, związanego przecież jak najściślej z całą przyrodą i będącego jednym z jej tworów żywych. Groszki pachnące, które były dość dokładnie zbadane przez genetyków, lub inne kwiatki, myszy, czy też muszki, mają bardzo dużo do powiedzenia tym, którzy poważnie zastanawiają się nad dziedzicznością u człowieka, nad rasizmem i t. p. zagadnieniami.

Po tym teoretycznem i ogólnym wstępie, wróćmy jednak do samej kwestji dziedziczności.

Dziedzicznością nazywamy zdolność przekazywania cech rodziców swemu potomstwu. Cechy te wywoływane są w organizmie przez pewne czynniki, które w nauce przyjęto nazywać genami.

Genem więc będzie to „coś", co wywołuje daną cechę pewnego organizmu. Ponieważ jedynemi łącznikami między rodzicami i dziećmi są komórki płciowe, musimy więc przyjąć, stojąc na gruncie przyrodniczym, że cechy, przekazane potomstwu przez rodziców, są wywołane przez geny, które muszą być ulokowane w komórkach płciowych, które dały początek nowemu organizmowi. Nauka obecna jest nawet w stanie powiedzieć, w jakim miejscu, w jakiej organeli komórki muszą się te geny mieścić. O tem jednak później; na razie, dla lepszej charakterystyki genu, muszę tylko zaznaczyć, że geny nie dają się obserwować ani pod mikroskopem, ani, tembardziej, gołem okiem. O istnieniu genu dowiadujemy się z jego uzewnętrznienia się, które jest niczem innem, jak wywołaniem, lub uwarunkowaniem zjawienia się, tej lub innej cechy. Geny możnaby więc porównać do atomów chemika: widzimy ich działanie, znamy prawa, które niemi rządzą, ale samych tych czynników widzieć nie możemy.

A teraz do przykładów, które nam wyjaśnią istotę praw Mendla!

Weźmy dwie odmiany roślinne, różniące się między sobą barwą kwiatów. Jedna z tych odmian niech ma kwiaty białe, — druga czerwone. Odmiany te muszą być czyste pod względem tych cech t. j. potomstwo odmiany o czerwonych kwiatach musi posiadać wyłącznie kwiaty czerwone, potomstwo zaś odmiany o białych kwiatach — kwiaty białe. Zgodnie z tem, co wyżej powiedziałem o przenoszeniu genów, każdy z osobników roślinnych, należących do tych dwu odmian, będzie produkował komórki płciowe (ziarna pyłku i komórki jajowe), zawierające czynniki dziedziczne, czyli geny, wywołujące barwę kwiatów: odmiana o białych kwiatach będzie wytwarzała komórki płciowe, zawierające gen, wywołujący białą barwę kwiatów (dla krótkości nazwijmy go „białym" genem); odmiana zaś o czerwonych kwiatach będzie produkowała komórki płciowe z genem, wywołującym czerwoną barwę kwiatów („czerwony" gen). Skrzyżujmy teraz te dwie odmiany t. j. zapylmy, naprzykład, odmianę o białych kwiatach pyłkiem, pochodzącym z kwiatów odmiany czerwonej (w danym przypadku na wynik krzyżówki nie wpływa, która z odmian została użyta jako matka, a która jako ojciec; skutek krzyżówki byłby więc ten sam gdybyśmy ją przeprowadzili w odwrotnym kierunku, biorąc pyłek z roślin o białych kwiatach i zapylając nim rośliny o czerwonych kwiatach). Nowy osobnik roślinny powstanie z połączenia się dwu komórek płciowych t. j. ziarna pyłku z komórką jajową, które po zlaniu się tworzą t. zw. zygotę. Ponieważ każda z tych komórek zawierała czynnik na barwę kwiatów, jedna czynnik „biały", druga— czynnik „czerwony", zygota i powstały z niej mieszaniec będą zawierały w swem ciele dwa czynniki na barwę kwiatów: jeden „biały", drugi „czerwony". Te odpowiadające sobie czynniki nazywają się czynnikami allelomorficznemi lub też homologicznemi.

Działalność takich dwu, zawartych w mieszańcu, genów (czynników dziedzicznych), może się ujawnić w dwojaki sposób:

1) Siła działania obydwu genów może być jednakowa i działanie ich tak dobrane, że „do głosu" dojdzie jak jeden tak i drugi gen, wywołując zjawienie się w organiźmie mieszańca cechy pośredniej między cechami obydwu rodziców. W danym przypadku otrzymalibyśmy kolor różowy.

2) Siły działania obydwu genów mogą stać do siebie w takim stosunku, że działanie jednego z nich bierze górę nad działaniem drugiego. Mówiąc językiem genetyka, powiemy, że jeden gen dominuje nad drugim. W naszym przykładzie wyobraźmy sobie, że gen „czerwony" dominuje nad genem „białym"; otrzymalibyśmy wtedy u mieszańca czerwone kwiaty, takie same jak u czerwonego rodzica, pomimo że zawierałby w swem ciele również gen „biały". „Biały" gen w obecności „czerwonego" nie może się jednak ujawnić, jest, jak mówią genetycy, recesywnym, ustępującym.

Przy drugiej możliwości widzimy, że wygląd zewnętrzny, wywołany grą działalności poszczególnych genów, tak zwany fenotyp, może nie odpowiadać ściśle dziedzicznemu wyposażeniu organizmu, czyli genotypowi. W danym przypadku genotyp składa się z genów „białych" i „czerwonych", fenotyp zaś jest jednolicie czerwony.

Przypuśćmy, że w naszym przykładzie, po skrzyżowaniu dwu odmian, otrzymamy pierwszą z wyżej przytoczonych możliwości, t. j., że po skrzyżowaniu odmiany o czerwonych kwiatach z odmianą o białych kwiatach, otrzymamy mie-

szańców, t. zw. pokolenie F_1, o kwiatach różowych. Pierwsze to pokolenie mieszańców będzie zawsze jednolite, t. j. wszystkie osobniki doń należące będą miały jeden i ten sam wygląd zewnętrzny, czyli fenotyp. (Genotyp ich będzie również dla wszystkich jednakowy).

Skrzyżujmy tych mieszańców pokolenia F_1, między sobą. Otrzymamy następujący rezultat. Pokolenie, pochodzące z tej krzyżówki, t. zw. pokolenie F_2, nie będzie już jednolite. Otrzymamy 25% wszystkich osobników tego pokolenia o kwiatach koloru czerwonego, t. j. zupełnie takich, jakie posiadał jeden z dziadków, 25% — o kwiatach białych, takich jak u drugiego z dziadków, i wreszcie 50% o kwiatach różowych, takich, jakie miało całe pokolenie F_1. Wyniki te mogą być w zupełności wytłumaczone w następujący sposób. Czynniki dziedziczne, znajdujące się w osobnikach pokolenia F_1, nie zlały się z sobą, a przebywały w ciele tych osobników obok siebie, zachowując każdy swoją indywidualność. W naszym przykładzie oznacza to, że czynnik dziedziczny, czyli gen „biały" i gen „czerwony", które weszły w skład osobników pokolenia F_1, nie zlały się z sobą, tworząc jakiś gen „różowy", ale że egzystowały zawsze obok siebie. Podczas tworzenia się komórek płciowych osobników pokolenia F_1 do każdej komórki płciowej (ziarna pyłku lub komórki jajowej) dostaje się tylko jeden z tych genów, albo „czerwony" albo „biały". Razem występować w komórkach płciowych, czyli g a m e t a c h, nie mogą. Geny te zostają więc podczas tworzenia gamet od siebie rozdzielone. Tworzą się w ten sposób gamety czyste pod względem tych genów, a więc i cech, przez nich wywoływanych. Nie będziemy mieli komórek płciowych (gamet), zawierających i jeden i drugi gen (w danym przypadku „czerwony" i „biały"); nie będzie więc gamet-mieszańców, pomimo to, że produkować je będzie mieszaniec, posiadający w komórkach swego ciała obydwa geny tej pary allelomorficznej.

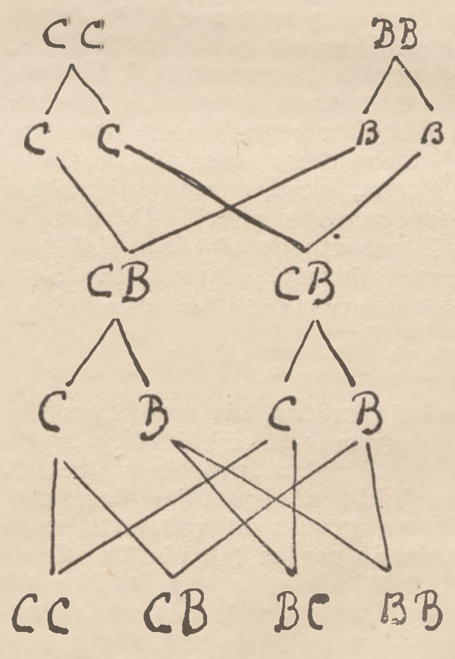
Zasada rozdzielania się genów przy utworzeniu się komórek płciowych (gamet) i tworzenie się wskutek tego czystych, pod względem jednej pary cech, gamet, jest najważniejszem prawem Mendla, zrozumienie czego daje nam klucz do zdania sobie sprawy z wielu na pozór niezrozumiałych zjawisk dziedziczenia. Objaśnia nam oczywiście i ten dość niezawiły przykład, który tutaj obrałem. Wyobraźmy sobie bowiem, że każdy z mieszańców pokolenia F_1, które jednolicie posiada różową barwę kwiatów, będzie na zasadzie wyżej wyłożonej, wytwarzać komórki płciowe, z których 50% będzie zawierała gen „biały" a 50% gen „czerwony", geny, które zawsze egzystowały obok siebie w ciele każdego z osobników pokolenia F_1, i które przy tworzeniu się komórek płciowych zostały od siebie rozdzielone.

Jakie otrzymamy szanse spotkania się tych komórek płciowych, jeżeli skrzyżujemy dwa osobniki pokolenia F_1? Gameta, czyli komórka płciowa, jednego osobnika, zawierająca gen „biały", będzie miała równe szanse do spotkania się z gametą „białą" lub „czerwoną" drugiego osobnika, będzie bowiem jednakowa ilość tak jednych jak i drugich. Połączenie gamety z „białym" genem jednego osobnika z gametą drugiego osobnika, zawierającą również gen „biały", da początek osobnikowi, zawierającemu tylko „białe" geny, a więc osobnikowi, który będzie miał białe kwiaty i pod tym względem będzie zupełnie podobny do jednego z dziadków. Osobnik ten będzie pod względem barwy kwiatów, osobnikiem czystej rasy, bo będzie mógł produkować komórki płciowe, zawierające tylko i jedynie gen „biały". — Spotkanie się gamety z „białym" genem jednego osobnika z gametą z „czerwonym" genem drugiego osobnika da nam, zgodnie z poprzedniem założeniem, osobnika o cechach pośrednich t. j. w danym przypadku o kwiatach różowych, takich samych jak wszystkie osobniki pokolonia F_1. Ponieważ szanse spotkania gamety z „białym" lub „czerwonym" genem drugiego osobnika są zupełnie jednakowe, otrzymamy 50% osobników o kwiatach białych i 50% — o kwiatach różowych.

Jeżeli przeprowadzimy takie same rozumowanie dla gamet, zawierających „czerwony" gen to zabaczymy, że ze wszystkich możliwych połączeń gamet o „czerwonym" genie jednego z osobników z obydwoma gatunkami gamet drugiego osobnika otrzymamy 50% osobników o kwiatach czerwonych czystej rasy i 50% osobników o kwiatach różowych, takich samych jak mieszańca pokolenia F_1.

Teoretycznie więc rzecz biorąc, po przeprowadzeniu wszelkich możliwych kombinacyj jednego gatunku gamet jednego z osobników z obydwoma gatunkami gamet drugiego osobnika, otrzymujemy zawsze połowę osobników o typie mieszańców i połowę osobników jednej z ras czystych, w danym przypadku czerwonej lub białej. (Patrz tabelka):

czerwone — białe



— Pokolenie rodzicielskie
— Ich gamety
— Mieszańce pokolenia F_1
— Ich gamety
— Pokolenie F_2 (wynik krzyżówki dwu osobników pokolenia F_1)

25% czysta rasa czerwona — 50% Mieszańce — 25% czysta rasa biała

C — czynnik na barwę czerwoną
B — „ „ „ białą.

W przypadku dominowania czynnika „czerwonego" C nad „białym" B kombinacja CB da osobniki czerwone, takie same, jak kombinacja CC. W przypadku zaś jednakowej siły działania obydwu czynników, kombinacja CB da osobniki różowe.

Ponieważ — jak widać na powyższej tabelce — przy wszelkich kombinacjach jednego gatunku gamet jednego z mieszańców z obydwoma gatunkami gamet drugiego z mieszańców, wziętych do krzyżówki, zawsze otrzymujemy połowę osobników o typie mieszańców, a drugą połowę osobników tylko jednej z dwu czystych ras, to, sumując wyniki wszelkich możliwych kombinacyj gamet i biorąc pod uwagę jednakowe szanse spotkania jednej jakiejś gamety jednego z osobników z jakimkolwiek gatunkiem gamet drugiego osobnika, z łatwością dojdziemy do wniosku, że w wyniku takiej krzyżówki musimy otrzymać dwa razy więcej mieszańców niż osobników jednej z czystych ras (czerwonej lub białej). Inaczej mówiąc 25% wszelkich możliwych kombinacyj, a co za tem idzie i osobników drugiego pokolenia F_2, będzie miało białe kwiaty, 50%—różowe kwiaty i 25% — czerwone kwiaty, przyczem osobniki z białemi i czerwonemi kwiatami będą już stanowiły czyste rasy, takie same (pod względem barwy kwiatów) jak ich dziadkowie. Teoretycznie te nasze rozumowania są najzupełniej zgodne z wynikami, otrzymanemi drogą doświadczalną.

Dziwne te, napozór, rozszczepienia cech w osobnikach drugiego pokolenia F_2, dadzą się, jak widzimy, doskonale objaśnić rozdzielaniem się genów przy tworzeniu gamet i, co z tem jest jak najściślej związane, czystością tych gamet pod względem rozpatrywanej pary odpowiadających sobie cech (cech allelomorficznych).

(Dok. nast.) GOZDAWA

ZE STUDJÓW NAD NORWIDEM: XIV

KOMPLEKS DWUŚWIATOWOŚCI

(Dokończenie)

WIELKA zaszła odmiana od początków romantyzmu, kiedy poeci wsłuchiwali się w głosy natury, aby z niej czerpać siły duchowe. „Przyrodo błogosławiona!” — wołał Goszczyński („Matka przyroda”), a gdzieindziej: „Zdaj się na ducha, który cię porywa, a ten przeniesie nad bezdna i stromy... Wzbijaj się, wielki poeto, z poddaniem swemu natchnieniu, z pełną wiarą w jego moce” („Błędy genjusza”). Wierzono w natchnienie, t. j. w „siłę, zapomocą której poeta wydobywa z łona przyrody poezję” [1]). Jeżeli za metę, do której wzbić mogło poetę natchnienie, uznamy najwyższy punkt „Improwizacji” Mickiewicza, to Norwid jakby tam zaczynał, gdzie romantycy kończyli, jakby tu przesiliło się poczucie mocy podmiotowej ducha przez poznanie, że istnieje osobny świat ducha, skąd zwrotnie idzie ku przyrodzie siła rozpoznawcza poezji. Od metafizyki kosmosu myśl przerzuciła się do metafizyki jaźni czystej, tworzącej światy. Norwid uczył:

„Na wysokościach myślenia jest sfera,
Skąd widok stromy —
Mąci się w głowie i na zawrót zbiera,
W chmurach — na gromy” [2]).

Pozostać tam nie można, nie wolno gardzić bytem, zadaniem bowiem człowieka, który sięga nieba, jest łączyć te światy: „prawda się razem dochodzi”. Niemniej kto zdobył tajemnicę jaźni metafizycznej, odbywa proces odwrotny: zstępuje na ziemię, jak Dante do czyśca lub piekła. Załamanie się romantyzmu widzę w tem, że Norwid nie z ziemi ku niebu, lecz odwrotne czyni ekskursje. Jego ideą artystyczną staje się stworzenie eposu ziemi jako świata stygmatów, pod kątem widzenia prawd absolutnych. Zaczął tedy pisać wielki poemat p. t. „Ziemia”. Doszedł nas urywek części piewszej, zaczynający się od słów:

„Prócz ciemnych piekieł, czyśca półciemności
I blasku niebios — och, ziemia jest jeszcze.
Wirgili w pierwszych znajdzie dość grzeczności
Między siarczyste z tobą chadzać deszcze...”

Z urywka pieśni ósmej widać, że w tym poemacie swego życia chciał pokazać wszystkie kręgi ideowe, które przebył; w owej pieśni ósmej miał być salon pięknej damy. *„A Dorio ad Phrygium”*, niewątpliwie ułamek tego wielkiego poematu, najpiękniejszy bodaj utwór Norwida, dać miał obraz życia ziemiańskiego.

Tak olbrzymi zamiar przerastał możność wykonania, boć w gruncie rzeczy wszystkie przeżycia poety, cała jego twórczość jest fragmentem życia ziemi. Czyż ma to opisać, co można krótko dowieść, że wszystko na ziemi jest snem, a prawda czeka w niebie i żeby w końcu powiedzieć, jak ów w „Pięciu zarysach obyczajowych”: „Ja jestem zwątpieniem rzeczywistości”?

Norwid porobił z ułamków poematu różny użytek, przekonawszy się, że całości nie zbierze. Ale wyśledzić można związek ideowy tych ułamków po tej znamiennej właściwości patrzenia na rzeczy z góry. Patrzy na świat „stromo“, jakby z obłoków, czy z balonu. W poemacie *„A Dorio“* są obrazy, które tylko w ten sposób można pojąć, że są brane z góry. W każdym razie to trzeba przyznać, że utwory Norwida z tego cyklu są piękne. Nie dlatego, że obrazy zdejmowane z góry, ale dlatego, że pisane w tęsknocie do ziemi. Norwid, jak Anteusz, odradza się, ilekroć dotknie stopą ziemi swoich lat młodzieńczych.

8. Wrogiem tęsknoty u Norwida była płynąca z jego górnego spojrzenia ironja.

„Dużo głębiej sięgnęlibyśmy w samą sztukę, gdyby można było znaleść jedną z zasadniczych form, w jakich się odbywają przeżycia twórcy badanych dzieł, coś, co dla swej charakterystyczności i typowości możnaby nazwać kategorją przeżyć danego twórcy”.

Przytaczam te słowa ze znakomitej rozprawy prof. Stefana Kołaczkowskiego o ironji Norwida [3]). Mam wrażenie, że zrobiłem tu przysługę, jeśli chodzi o Norwida, pokazując właściwość jego struktury duchowej, sięgającą w głąb jego natury, właściwość, która go uczyniła urodzonym djalektykiem władających bytem sprzeczności. Jest taka właściwość znacznie czemś więcej, niż przyswojona idea, w krytyce nazywana *„idée maîtresse”*.

[1]) Goszczyński „Nowa epoka poezji polskiej” (1835).
[2]) „Idee i prawda”.

[3]) Miesięcznik „Droga”, nr. 11, s. 995.

Nie mógłbym się zgodzić z prof. Kołaczkowskim, że ironja tłumaczy „społeczną genezę i społeczną rolę sztuki” Norwida. Ale zgadzam się, że ironja, będąca jego stylem, „tłumaczy związek z epoką, ukazując jedną z zasadniczych jego postaw uczuciowych względem życia”. „Ironja” — tłumaczy prof. Kołaczkowski[4]) — „stanowi jedno z ogniw, łączących u tego poety poznanie i ocenę moralną świata — z przeżyciem uczuciowem i poetyckiem”. Nic słuszniejszego. I to jeszcze przytoczę:

„Pragnienia i tęsknoty rodzą marzenia i poezję. A kiedyż powstaje większa tęsknota, niż wtedy, gdy rzeczywistość od ziszczenia naszych ideałów jest najdalsza? Napiętą cięciwą tęsknoty Norwida był taki właśnie dystans — największy, jaki można sobie wyobrazić — między nim a światem. Ironja losu, ironja historji, były wielkiemi rzutami metafizycznemi i dziejowemi odczuwanej rozbieżności”.

I dalej:

„Oryginalność organizacji duchowej Norwida stanowi i to, że na jego talent składają się jakby dwa całkiem odrębne, niewspółmierne żywioły: jeden związany ze stoicką postawą — posągowy, intelektualny i intuicyjno-poznawczy; ten jest statyczny do tego stopnia, że do stworzenia akcji, iluzji ruchu poeta zdaje się być niezdolny, a czasem popada we wręcz rażącą dydaktykę i abstrakcyjność. Drugi — świat przeżyć czysto lirycznych — wyraża się samą płynną rytmicznością, najoryginalniejszą i niepochwytną lotnością”[5]).

Mówimy o tem samem i prawie to samo. owe dwie pozycje Norwida, o których wyżej — to są właśnie jego „niebo” idej i „ziemia” przeżyć. Norwid zawisł między niebem i ziemią. W „Niewoli” (1863) mamy taki obraz:

„Żaden bo śpiewak, co na chmurze stoi,
Choćby żaglowem skrzydłem wiał anioła,
Nie zrzuca z niebios prawd, lecz o nie woła”.

Przeświadczony był, że jako profeta przynależy do pierwszego z tych światów. Patrzał stamtąd z lotu ptaka, „stromo”, a jest stąd widok, dający może wiele do myślenia, ale nie powabny, gdyby nie tęsknota do padołu, jakiś obojętny: mapa nie obraz. Człowiek, zawiśnięty tak, przebywa dramat, jak Twardowski:

„Płakałbyś może, lecz łzę wiatr ociera
Pierw, nim błysnęła;
Pocóż się wdzierać, gdzie światy są zera,
Pył — arcydzieła!”[6])

Ale z drugiej strony, skoro wdarłszy się tam, człowiek już wie, jak „być powinno” (ideał), a widzi, jak układa się rzeczywistość, wtedy gniew profetyczny, litość łzawa i śmiech, wytwarzają w poecie specjalny rodzaj żółci, zwany ironją. Norwid był krytyczny, ale też zgryźliwy, bystry w wejrzeniu i w ocenie, dokonywanej przedewszystkiem kryterjami estetycznemi. Wyrażał tę ocenę ironicznie dlatego, że w niej znajdował pierwiastek uczuciowy, jedyny środek robienia z dydaktyki czegoś poetycko-artystycznego, skoro dobry smak odrzuca patetyczną retorykę. Usprawiedliwiał się zaś z ironji jako wychowawca: „Nie znieśli prawdy, niech poświst jej słyszą”[7]).

Nazywa też ironję „uśmiechem krzywym”. Gdy patrzy stromo, czy skośnie na swój padół, czyż ma szydzić? Na ustach zjawia się ten uśmiech bolesny. To rys ważny w obliczu poety; takim go widujemy na portretach.

To jest też rys i epoki. Kiedyż życie na ziemi mogło więcej budzić ironji, niż wtedy, gdy rzeczywistość, będąca jego siłą, została zakwestjonowana w swym bycie. Norwid uśmiechał się ironicznie, słysząc spory tego typu:

„Jako? Cóż to jest — nagle razem zawołano —
Tak rychło więc do tego doszliście już, aby
O realności samej poróżnić się miano?
Jeżeli tak, to koniec. Wpierw rozmowa szłaby,
Ale jeżeli nawet w tem się już różnicie,
Że ów nazywa śmiercią, co tamtemu życie —
To za wiele!”[8])

Taki już był duch czasu. W ten sposób spierano się pewno w Warszawie, gdy nowinki filozoficzne przewracały świat do góry nogami. Norwid właśnie z ironją patrzał na ten świat dufny w swoją realność i samostarczalność. Norwid bowiem stał całe życie na wysokości tego widzenia:

„U mnie duch treść jest, pozorem jest ciało”[9]).

Tutaj leży źródło ironji Norwida. Cały jego wysiłek twórczy ku temu był skierowany, aby tę prawdę okazać. Im więcej osamotnionym czuł się w tej wierze i źle rozumianym, tem ostrzejszą stawała się jego ironja.

9. Norwidowi, artyście słowa, należałby się tutaj cały traktat, ja jednak w paru tylko słowach wskażę potrzebę zbadania, w jak wysokim stopniu charakter jego artyzmu uzależniony jest od tej dwupolowości widzenia (niebo i ziemia). Artysta, tworzący obrazy, choć więcej widzi przed sobą nieba, niż ziemi, to jednak na wszystko ma tylko farby urobione na ziemi. Ze słowa, które jest tą farbą, musi robić podwójny użytek, nieraz wprost licząc na jego magiczność. Nie są to już pieśni fujarczane, czy kalinowe, których się zarzekł już w liście do brata Ludwika, lecz wielka — o jakiej marzył — sztuka polifoniczna na lutni „dwuświetnej”. Tworzyć tu można wielkiemi „rzutami metafizycznemi”, nawet pisząc realistycznie, żeby wydobyć podwójne każdej rzeczy znaczenie (ziemskie i niebieskie), trącać trzeba wiele strun przerzutami nagłemi i akordami. A słowo przecież, jak się skarżył, ubogie w korzeniu swojem; sztuka słowa polega na wynalezieniu środków, aby czuć było „wysokość sfery słowa”[10]), sięgającą z ziemi do nieba.

Bogactwo słownika Norwidowego jest niewielkie, ale sposoby zażywania słów bardzo są kunsztowne. W duchu usiłowań jego leżało przezwyciężenie równoległości dwu światów przez ich parabolizowanie. Umysł miał wyrobiony w kierunku nagłych skojarzeń, dających wielką łatwość przerzutni metafizycznych, alegorycznych, parabolicznych, hyperbolicznych. Tworzyły się z tego nieraz zagadki i szarady, zaciemniające na rzut oka jasność obrazu, ale zawsze efektowne, niespodziane, błyszczące niepospolitym kunsztem aforystyczności. Leżało to w naturze jego talentu, ale zdawał sobie sprawę z użytku postaci nadawanych słowu. Oto próbka:

„Z zewnątrz zaś twórczość, owszem, będzie ci się zdawać
Darem hojności niebios i tą linją krzywą,
Bez której prostym [linjom] — życia musi nie dostawać,
Linją, co w geometrji buntem jest, lecz ona
Czyni, że geometrja jest zużyteczniona...”[11])

---

[4]) Tamże, 994.
[5]) Tamże, 996.
[6]) „Idee i prawda”.
[7]) „Rzecz o wolności słowa”, XI.
[8]) „Pięć zarysów obyczajowych”.
[9]) „Niewola”.
[10]) „Rzecz o wolności słowa”, XII.
[11]) „Pięć zarysów”, I.

Mimowoli przychodzi na myśl ojciec Norwida, mistrz w układaniu szarad; coś po nim zostało w spuściźnie. Znaczenie tej zagadki: parabola. Przerzucenie do geometrji jest też parabolą. Mamy więc podwójną, ale dobrą parabolę, bo istotnie w geometrji taka linja krzywa ma jedno ognisko „rzeczywiste", a drugie — w nieskończoności.

Norwid linje dwu poziomów „nieba" i „ziemi" wiązał parabolami, które odczytywać trzeba nieraz jak rebusy. Oto dla przykładu wierszyk „Sen":

„Na polu bitwy dwóch ludzi leżało. Jeden od wschodu „w ziemię wpoił ciało, lecz twarz k u n i e b u mając obróconą" „i zdało ci się, że niebo spowiadał". Umierając „ostatnim głosu tchem zawołał: „Ziemi!" — Ten zaś drugi — od zachodu — leżał twarzą ku ziemi, jakby ją czytał, a umierając wołał: „Nieba!"

Przypuszczać trzeba, że poeta miał na myśli kulturę uduchowioną słowiańską, której brak dostatecznych podstaw materjalnych, a z drugiej strony kulturę zmaterjalizowaną Zachodu, odczuwającą przedśmiertnie potrzebę idealizmu.

10. Kiedy mowa o stylu pisarskim, o sposobach postaciowania mowy, stosowanych przez poetę, to mamy sposobność uprzytomnienia sobie i innym, jak głębokie znaczenie ma aforyzm „styl — to człowiek". Daremne są poszukiwania filologiczne, na kim Norwid styl swój wzorował; to był jego styl oryginalny, powtarzający w poezji znamiona psychiczne te same, któremi cechowało się całe jego postępowanie umysłowe w stosunkach życiowych. Cała jego droga życiowa była szeregiem parabolicznych linij, łączących zawsze realny jego padół z jakimś górnym, imaginowanym poziomem, czy to w porządku heraldycznym, czy majątkowym czy towarzyskim.

Przypomnę autobiografję Norwida, choćby taki szczegół, kiedy opowiada o sobie, że przyszedł na świat na Mazowszu — „czasu, kiedy w Grecji umierał Noël Byron". Tak działała jego wyobraźnia, że musiał swoją linję złączyć jakąś krzywą z czemś, czemu chciałby dorównać. Albo taki przykład. O swojem uwięzieniu w Berlinie w r. 1846 wspomina po latach w jednym z listów do p. Konstancji Górskiej. Cóż zdawałoby się prostszego, jak przytoczenie faktów historycznych. A tymczasem Norwid przerzuca od tych faktów łączniki, nadające faktom znaczenie historjozoficzne. Oto tak pisze:

„Kiedy król saski w swoim pałacu, zapewne we willi nad rzeką, tłumaczył *„la Divina Comoedia"* Danta, to ja właśnie wtenczas tłumaczyłem *„l'Inferno"*, leżąc na słomie przegniłej w więzieniu w Berlinie".

A dalej:

„Książę Wilhelm Radziwiłł był łaskaw mówić o mnie królowi pruskiemu i tym sposobem ułatwiono mi ujechanie z więzienia — mówię u j e c h a n i e, nie ucieczkę, bo nie uciekałem nigdy. Ale co pięknego, to, że co sobota przychodziła mi kwiaty pod okno przynosić ś. p. Koźmian z Chłapowskich — więc właśnie że kuzynka Mikołaja I. bo rodzona s i o s t r z e n i c a księżnej Łowickiej, b r a t o w e j M i k o ł a j a!
Jakże życie jest dziwne! i jak widać, że wszystko w życiu jest w a ż n e... i m a r n e![12])

W przedstawieniu Norwida każdy obraz stawał się w ten sposób szaradą, a jeśli chodzi o styl, gdzie każde słowo może być metafizyczne, wiele kart się mroczy od zawiłości.

[12]) Ob. Adama Czartkowskiego „Norwidiana" w „Kurjerze Warszawskim", nr. 87 z r. 1931.

11. Robota artystyczna tego typu, który można nazwać barokiem, nie może się cieszyć popularnością literacką. Sprawa niejasności Norwida, o której tyle się pisało za życia poety i po śmierci, znajduje tutaj swoje wytłumaczenie. Czytelnik normalny, przyzwyczajony do wyraźnego rysunku myśli poetyckiej, źle się orjentuje w rykoszetowych potrąceniach przez odbicie parokrotne rzeczy, daleko od siebie leżących. Robota przytem taka, przy względnem ubóstwie słów, pochodzenia bądź co bądź „ziemskiego", nie może być precyzyjna i zadowolić umysłu, dokładnie myśl badającego. Metafory i parabole, polegające najczęściej na skojarzeniach zewnętrznych, są tylko analogjami i niezawsze wytrzymują próbę analizy. Szwankują też często pod względem artystycznym jako obrazy. Weźmy np. przytoczony wyżej wiersz „Pielgrzym". Ponieważ poeta o sobie mówi, że „trwa w nieba łonie", więc mu się to kojarzy z niebotycznością piramidy, robi tedy obraz, że niebo porywa jego duszę, jak piramidę. Dajmy na to, ale gorzej jest z tem, że to wszystko wyrazić ma ideję, iż poeta potrzebuje tylko tyle ziemi, ile stopa zajmuje. Właśnie odwrotnie, niż piramida, która dużo ziemi zajmuje, a nieba tyka tylko wierzchołkiem. Więc tem porównaniem siebie z piramidą poeta bynajmniej nie wzmocnił obrazu, owszem osłabił go.

Ale właśnie takie niedociągnięcia świadczą, że Norwid był nie logistą, lecz artystą, obdarzonym żywą wyobraźnią i zadowalającym się impresją. On sam był przekonany, że wykrywa i kodyfikuje prawdy i to dawało charakter namaszczenia (owe „serjo") i profetyzmu. Nie mógł się uchronić od roli dydakty, wykładającego związek metafizyczny rzeczy, ale postawę miał zawsze wieszcza, który ma klucz p o e t y c k i do tajemnic wieczystych, klucz (według nauki „Promethidiona") czarodziejski w porównaniu z filozoficzno-naukowym. Klucz ten był nieraz zbyt mechaniczny, zbytnio obliczony na magiczną moc słowa i przenośni, w słowie postaciowanych. Wiara w tę moc była tem większa, że obdarzony był niepospolitą łatwością skojarzeń i żył pod wrażeniem, że prawda sama mu się objawia w owych obrazach ze skojarzeń i przenośni.

Ta łatwość korzystania z impresjonistycznych skojarzeń i tworzenia dowcipnych często, ale nie zawsze przemyślanych aforyzmów grała w Norwidzie rolę natchnienia, tak jak je rozumieli romantycy, — natchnienia, niosącego z sobą prawdę. Ale tu właśnie zachodzi różnica, bo romantycy czystego typu operowali „czuciem i wiarą", jako narzędziami poznania, Norwid zaś, patrząc na świat okiem „mędrca", który prawdę znalazł, w jej imieniu apelował do uczuć i wiary współczesnych.

To też nie rozumiano Norwida zarówno z powodu jego sposobu obrazowania myśli, jak i z powodu sposobu myślenia.

I właśnie dlatego należało dotrzeć do jego psychiki, aby go obronić od zarzutów: w pismach — braku powagi intelektualnej, w życiu — moralnej. Właśnie na tem polega osobliwość Norwida, że taka, a nie inna była jego natura, niedostatecznie zakomodowana w swej jaźni ziemskiej i metafizycznej.

I to był jego dramat.

ZYGMUNT WASILEWSKI

NA WIDOWNI

Nowa koncepcja Golgoty. — Duch reklamy. — Żydzi jako jego twórcy. — Jego triumf dzisiejszy. — Powrót ku prawdzie...

OTO przed nami najnowszy (19) numer czasopisma „Wiadomości filmowe": dziesięć stronic, formatu „Wiadomości literackich", z licznemi ilustracjami. Jako redaktor i wydawca podpisuje J. Rotsztadt-Miastecki, jako redaktor odpowiedzialny — Sal. (Salomon?) Jesiotr. W tekście rzuca się w oczy artykuł pod krzykliwym, trzyszpaltowym tytułem: „GOLGOTA" NAJWIĘKSZYM PRZEBOJEM...

Czytelniku chrześcijański, czujesz jakiś niesmak, nie podoba ci się coś w tym nagłówku, nie jesteś przyzwyczajony? Bądź konsekwentny, przecież to jest „duch współczesności", normalny gust, normalny styl — w cywilizacji opartej na wszechpotędze reklamy...

— — — — — — — — — — — —

Werner Sombart w swem niesłychanie interesującem dziele „Żydzi i życie gospodarcze" *) przedstawia dowody, że reklama jest wytworem psychiki żydowskiej. Dawny kupiec, Europejczyk, dziedzic idej średniowiecza, miał głęboko zakorzenione poczucie godności własnej, szacunku dla siebie samego, za ujmę uważałby sobie „łapanie klijenta", odciąganie go od sklepów innych, ba, nawet ozdabianie swojej witryny sklepowej dla zwrócenia na nią uwagi nabywców. Żyd, natomiast, wystawał na progu, chwytał przechodniów za poły, zapraszał, wychwalał swój towar, rozłożony u wejścia, aby znęcić tym widokiem kupujących. Jeszcze w pierwszej połowie XVIII stulecia kupcy angielscy uznawali „za rzecz podłą i niezręczną *(mean and disgraceful)* zwracanie się do publiczności za pośrednictwem ogłoszeń"; i później także, przez długi czas, choć ogłaszano już o przedmiotach, posiadanych na zbyciu, „r e k l a m a h a n d l o w a, t. j. wszelkie zachwalanie, wykazywanie szczególnych zalet towaru w porównaniu z towarem konkurenta, uważane było za rzecz niedopuszczalną". Żydzi pierwsi wprowadzają anons handlowy, zarówno w Europie, jak w Ameryce, zarówno w dziale ogłoszeń, jak w tekście gazety; oni wreszcie są twórcami dzisiejszej prasy brukowej, opierającej swe istnienie na inseratach.

Reklama stała się niezbędną częścią gospodarki wielkokapitalistycznej, jej nieodzownem narzędziem. Ona zaczęła stwarzać potrzeby spożywcom i rozstrzygać o sposobach ich zaspokojenia. Wprzęgła w swoje usługi artystów, obniżając godność ich sztuki.

To ostatnie zdanie wymaga objaśnienia, zwłaszcza w dzisiejszej dobie, gdy tak wysoko — i słusznie — podnosi się wartość sztuki użytkowej, zaś albumy artystycznych afiszów i reklam nieraz wydaje się z większym pietyzmem graficznym, aniżeli reprodukcje nieśmiertelnych arcydzieł. Otóż zło nie w tem leży bynajmniej, że w plakacie temat dzieła artysty jest błahy: buljon w kostce, modny środek kosmetyczny, opona samochodowa... Mickiewicz dał w „Panu Tadeuszu" niezrównaną pochwałę bigosu, wielcy malarze holenderscy XVII stulecia osiągali szczyty swej sztuki, ukazując miąższość soczystych owoców, apetyczność świeżo ugotowanego homara. Rzecz w tem, że grafik, reklamujący nowy „budyń w proszku", nawet nie popróbował jego smaku, że nie ten budyń wcale jest przedmiotem twórczego natchnienia, ale zysk, jaki ma zdobyć fabrykant. Tu już nie chodzi o przedstawienie p r a w d y bigosu, chociażby wyegzeltowanego subjektywnie, ale o zgoła n i e l i c z ą c e s i ę z p r a w d ą, skuteczne oddziałanie na publiczność, ażeby szła oddawać grosze swoje przedsiębiorcy. Tej tylko służbie wynajmuje swoją zręczność artysta — a taka koncepcja roli twórcy nie wynosi chyba nazbyt górnie dostojeństwa jego powołania.

Tutaj bodaj znajduje się sedno sprawy: prawda — podmiotowa przynajmniej — i godność osobista, to właściwie rzeczy nierozłączne. W reklamie natomiast prawda nie istnieje zupełnie, jedynym drogowskazem jest celowość. Ogłaszający nie rumieni się, kiedy woła, że jego towar jest „najdoskonalszy", „epokowy", tak jak czytelnik nie czuje się obrażony czy nawet zdumiony, gdy widzi w piśmie, że „najszczęśliwszą" jest zawsze kolektura X, jednakże „wygrać można tylko wtedy", jeśli się kupi los w kolekturze Y. Wytwarza się obyczaj, powszechnie aprobowany, że prawda nie obowiązuje, że żądanie jej byłoby śmiesznem dziecińśtwem, kompromitującą naiwnością. Jakiż to idealny typ cywilizacji dla żydostwa, z jego brakiem wstydu, interesownością, z jego brakiem odczucia prawdy objektywnej, instynktownie czczonej przez Europejczyka!...

A zakres tych spraw, w których prawda—zgodnie z obyczajem — „nie obowiązuje", rozszerza się, naturalnym biegiem rzeczy, coraz bardziej. Nietylko przez to, że, obok reklam, dzienniki zamieszczają coraz częściej płatne wzmianki, w formie niby-to redakcyjnych artykułów. Ważniejszy stokroć jest ów kapitalistyczny, „gospodarczy" sposób myślenia, opanowujący pokolei wszystkie dziedziny życia. Czyż nie jest „przedsiębiorstwem", dającem dochód, publikowanie książek, wystawianie sztuk teatralnych, urządzanie koncertów? Czyż nie przynosi zysków zajmowanie się polityką? I czy coraz wyraźniej nie przybiera znamion reklamy: krytyka naukowa, literacka, artystyczna, a obok nich także publicystyka polityczna, z całą t. zw. propagandą? Czy opinja nie uważa już za zrozumiałe samo przez się, że o „swoim" mówi się zawsze w superlatywach, że się wieńczy go, niezależnie od tego, czy zasłużył?

Duch reklamy triumfuje. Komunizm, przesiąknięty do głębi kapitalistycznym sposobem myślenia, przenoszący tylko własność z jednostki na państwo, czyni z „plakatu" ideał nowej literatury, nowej sztuki, pełniącej powinność „agitacyjną". Hitleryzm, tak stanowczo pogardzający żydowszczyzną, nie wyzwala się—jak dotychczas— z metod żydowskich, jeśli chodzi o formy reklamiarskie propagandy. Reklamuje się dziś nietylko towar na sprzedaż, lecz bohaterów, ideje, religje... Może właśnie ten fałsz postawy psychicznej jest przyczyną, iż propaganda ta odznacza się tak złym smakiem, tak jest tandetna, tak niezdolna do tworzenia jakichkolwiek dzieł trwałych...

Wśród rosnącego wciąż krzyku reklamiarzy, potrzeba coraz głośniejszych megafonów, aby prze-

*) W e r n e r S o m b a r t: „Żydzi i życie gospodarcze", przełożyła dr. Melanja Brokmanowa, Warszawa, 1913, patrz str. 121 i nast.

krzyczeć, trzeba być coraz jaskrawszym, coraz bardziej bezceremonjalnym, coraz brutalniejszym. Rejwach zwiększa się, zgoła już nie przenikając do świadomości otępiałych, ogłuszonych słuchaczy. Kiedyż domyślimy się, że najsilniejszym efektem kontrastu będzie — cisza: w niej spokojny, niepodniesiony głos człowieka, z rzetelnością ważącego prawdę każdego słowa?

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

OGÓLNY OBRÓT RZECZY W POLITYCE ZAGRANICZNEJ zaniepokoić musiał wszystkich, co przypatrywali się ostatnio uważniej biegowi wypadków. Ale zaniepokoić musiała serjo także rzecz inna. Do wiadomości publicznej docierały tylko wielce uproszczone i grubo niedokładne wieści o zdarzeniach. Nieumiejętność polityczna pozbawiła sojusz polsko-francuski niemałej dozy waloru. Ale sojusz ten, pomimo to, nie przestał istnieć i niechybnie walor swój odzyska, po zastąpieniu gorszej polityki lepszą. Tymczasem całą prasę europejską obiegła wiadomość, że sojusz polsko-francuski, oddawna chorzejący, zakończył wreszcie swój żywot. Nie chodzi nam tu o prostowanie tego rodzaju bałamuctw. Chodzi nam o przyjęcie, z jakiem nowiny takie spotykają się w pewnej części opinji polskiej. Przyjęcie to nasuwać musi wiele nieprzyjemnych myśli. Znaczna część prasy, zbyt domyślnie zgadującej intencje naszej tajnej dyplomacji, uwierzyła, że stare sojusze i oparcia w polityce zagranicznej zastąpiliśmy nowemi. Pisma te bez trudności dopuściły myśl, że nastąpiła całkowita zmiana orjentacji polskiej, i że jak dawniej mieliśmy najlepszego przyjaciela Francję, tak teraz mamy najlepszego przyjaciela— Niemcy. W przypuszczeniu, że fantastyczna zmiana ta jest faktem, i zachwycone jej nagłością, różne brukowce sławić zaczęły ze zdwojoną gorliwością „samodzielność" polskiej polityki zagranicznej i odwagę jej kierowników. W tem wszystkiem nie lekkomyślność i nie łatwowierność „publicystów", co tak łatwo pogodzili się z ideą „odwrócenia sojuszów" — jest rysem najprzykrzejszym. To bowiem dowodziłoby tylko — skrajnego, coprawda, niewyrobienia, będącego skutkiem wyzucia z wszelkiej tradycji politycznej. Ukazywałoby to tylko w całej jaskrawości prymitywizm wyobrażeń, wedle których naród, dbały o swój „interes", wykonywać winien w polityce skoki w różnych kierunkach — tak swobodnie jak konik w szachach. Opinje takie same przez się byłyby już bardzo smutnem świadectwem niedojrzałości politycznej.

Okazało się jednak, że w rzeczywistości sprawa przedstawia się jeszcze gorzej. Część prasy nietylko wzięła sobie za punkt honoru natychmiastowe przystosowanie pojęć do rzekomej zmiany kursu w polityce zagranicznej — ale odrazu uznała także za swój obowiązek niedawnego sojusznika podawać na pośmiewisko, wyszydzać i zohydzać. Niżej zdegradować się już nie można. Co innego bowiem są naiwne wyobrażenia o konieczności wykonywania skoków konika na „szachownicy" politycznej, a co innego wogóle zatrata poczucia, jakie związki cywilizacji i tradycji historycznej łączą Polskę z najbliższymi jej członkami rodziny narodów. Można wyobrazić sobie jakąś fikcyjną, gwałtowną kolizję interesów między Polską i Francją. Ale i w tej fikcji nie można wystawić sobie, żeby zaszła nagła potrzeba zapomnienia, czem w świecie naszej cywilizacji jest Francja, i punktualnego zastąpienia odwiecznych, głębokich uczuć — lekceważeniem i pogardą. Nawet tragiczny konflikt nie wymagałby takiej zmiany sposobu myślenia. Czemuż wystarczy najpłyciej pojęta kombinacja polityczna, żeby dać części prasy asumpt do popisów błazeńskich? Więc dość niezrozumienia jakiegoś gestu, odległego w Genewie ministra spraw zagranicznych, żeby „czerwoniaki", jak na rozkaz, zaczęły pokpiwać odrazu z „koguta gallijskiego"? Niepokojące istotnie są te przejawy zadziwiająco niskiego stanu kultury politycznej w pewnej, — oddanej zresztą propagandzie „dobrego imienia Polski" — grupie. Istnienie nawet małej grupy takich propagandystów przeszkadza społeczeństwu poczuć pełny szacunek dla samego siebie, i opóźnia tę normalizację pojęć o godności narodowej, która dokonać się musi nawewnątrz, zanim nazewnątrz Polska znowu odzyska należny jej szacunek u obcych. Żeby to nastąpiło, przedstawić się musi światu, jako naród o określonych lojalnościach i przywiązaniach, świadomy swego odwiecznego miejsca w cywilizacji europejskiej, a nie jako naród propagandystów i ofiar propagandy, zmieniający swe przekonania z dnia na dzień, stosownie do nagłówków w gazetach.

BRACIA. W swoim czasie i w swoim dzienniku, to znaczy — w maju roku zeszłego w „Nowym Dzienniku", osławiony kawalarz mniejszościowy, krakowski rabin Ozjasz Thon oświadczył, że od trzydziestu lat należy do żydowskiej masonerji „*Bnai-Brith*", gdzie, według własnych jego słów, „wcale znaczne miejsce zajmuje".

Z czwartego zaś tomu, wydawanej w Berlinie „*Enciclopaedia Judaica*", polska prasa narodowa przytoczyła niedawno nieco danych o „*Bnai-Brith*", z których przypomnijmy następujące:

„*Bnai-Brith*" powstał w Nowym Jorku w r. 1843. Obejmuje wszystkie kraje, a kulę ziemską podzielił na obwody, albo prowincje *(Distrikte)*. Polska stanowi obwód XIII, ustanowiony w roku 1924. Stolicą obwodu i rezydencją Wielkiej Loży jest Kraków. Polski obwód, jak donosiła prasa żydowska, liczy 904 członków (a można przypuszczać, że więcej). Zwierzchnikiem obwodu polskiego „*Bnai-Brith*" jest rabin Ozjasz Thon".

„*Bnai-Brith*", *Unabhaengiger Orden B. B. (U. O. B. B.)*, czyli — „Niezależny Zakon Synów Przymierza" jest to związek żydów mężczyzn, mający za cel „wzmacnianie duchowego i obyczajowego charakteru oraz wpajanie czystych zasad miłości ludzi wśród swoich współplemieńców". Liczy 80.000 członków i 600 lóż na całym świecie (-(prasa polska przypuszcza, że o wiele więcej)-). Członkowie zwani są braćmi, hierarchję mają czysto masońską. Zatem jest to masonerja czysto i rdzennie żydowska. Właściwem jej zadaniem jest podtrzymywanie wśród żydów ducha nacjonalizmu, przekonania o wyższości rasy żydowskiej jako narodu wybranego, tudzież krzewienie i wzmacnianie solidarności żydowsko-rasowej".

„Masonerja ta jest ściśle zamkniętą organizacją i kto nie jest żydem, nie ma do niej wstępu, podczas kiedy jej członkowie, rekrutując się z zawodów wyzwolonych, mają dostęp do organizacyj nieżydowskich, zatem mają możność wywierania wpływów na te ostatnie, czego nie-żydzi wobec „*Bnai-Brith*" są pozbawieni".

Tyle z owej encyklopedji. A wreszcie z książki „Masonerja na rozstajnych drogach" niemieckiego masona Hensla polska prasa narodowa wy-

jęła i ogłosiła część listy członków „*Bnai-Brith*“. Zawiera ona między innemi następujące nazwiska: Ballin, Rathenau, Friedlaender, Fould, Bleichroeder, Max i Paweł Warburg'owie, Liebknecht, Bela Kun, Lejba Bronstein-Trockij, Samuel Gompers, Icek Tumultey (sekretarz prezydenta Wilsona), sir Filip Sassoon (sekretarz Lloyda George'a), Mendel Rotschild (sekretarz Clemenceau), Bernard Baruch, Radek-Sobelsohn, Kirbitz-Kierenskij, sir Alfred Mond i t. d.

Z zestawienia danych powyższych wynika, że obywatel państwa polskiego, poseł na sejm, rabin Ozjasz (Jehojszue) Thon zasiada w tajnej organizacji razem z braćmi swoimi — bolszewikami, razem z byłym wodzem armji sowieckiej Bronsteinem, razem z rzezakiem Węgier — Kunem i t. d., a wogóle — razem z obywatelami państw obcych i z wrogami Polski.

W normalnych warunkach życia takim bratem dawno już zajęłaby się prokuratura państwa. Wszak ściga ona, i to energicznie, ludzi, podejrzanych o przynależność do tajnych organizacyj...

NAUKA i LITERATURA

„NAUKA POLSKA"

TOM XIX wydawnictwa „Nauka polska, jej potrzeby i rozwój" (1934, Kasa im. Mianowskiego) zamieścił na czele artykuł Tadeusza Zielińskiego p. t. „Nauka czysta i nauka stosowana w świecie starożytnym". Autor stawia i argumentuje tezę, że kolebką nauki czystej jest cywilizacja helleńska. W Grecji starożytnej nauka czysta rozwijała się równolegle do nauki stosowanej, podczas gdy współcześnie judaizm potępiał obie, przeciwstawiając im swoją etykę, jako jedyny, godny badania przedmiot, zaś w klasycznym wschodzie kwitła wyłącznie nauka stosowana. W świecie chrześcijańskim rozwój nauki czystej nie biegnie linją prostą — ma swoje spadki i wzniesienia. Odrodzenie, nawiązujące do helleńskiego antyku, daje rozkwit nauki czystej, zanikała zaś ona w dobie reformacji, czy też naskutek szerzącego się materjalizmu, który objawił się kilkakrotnie. Dzieje się tak dlatego, że pęd do nauki czystej nie jest wrodzony człowiekowi wogóle, ale tylko człowiekowi helleńskiemu, zaś dusza człowieka naszej cywilizacji nie jest helleńska, tylko mniej lub więcej zhellenizowana. Zatem od ściślejszego lub luźniejszego związku cywilizacji naszej z kulturą Grecji starożytnej zależeć będzie i w przyszłości większy lub mniejszy rozwój nauki czystej.

Następuje obszerna praca Jana Bronisława Richtera p. t. „Zagadnienia biografiki współczesnej". Praca obejmuje rozdziały: 1. Pojęcia zasadnicze (pojęcie biografji, biografja a historja, zarys ewolucji biografji), 2. Rodzaje biografji, 3. Możliwość rozumienia i opisywania innych ludzi, 4. Indywidualność a osobowość, 5. Źródła do biografji.

Temat pracy jest aktualny, zarówno ze względu na młodość samej biografiki naukowej, jak też i ze względu na okoliczność specjalną — będące w toku prace nad polskim słownikiem biograficznym. Jednakże praca, o której mowa, przynosi zawód. Autor bowiem przedstawia w niej poglądy różnych uczonych współczesnych, nie dając jednak, czego właściwie należy żałować, własnej syntezy. Nie będąc specjalistą, trudno jest zorjentować się w nagromadzonych poglądach — różnych, a czasem sprzecznych, tembardziej, że linje konstrukcyjne wykładu zacierają się w tym tłoku.

Autor twierdzi, że zainteresowanie biografa współczesnego skupia się na rozwoju wewnętrznym człowieka, a do istoty danej osobowości dociera biograf poprzez dzieła i czyny. Interesuje go jednak także „forma zjawiskowa" osoby; ta forma zjawiskowa, „przejaw" osobowości, jest dla historyka kultury ważniejsza niż „istota" wybitnej jednostki. Co do zagadnienia epistemologicznego możliwości rozumienia i opisania innych ludzi, autor wskazuje dwie drogi poznania człowieka, obie jednak niedoskonałe. Podstawową formą poznania w tej dziedzinie jest „wczuwanie się". Uwarunkowane jest ono jednak osobą poznającego, przytem wyniki jego nie mogą być adekwatnie przedstawione w słowach, gdyż zamknięcie ich w pojęciach daje schemat. Natomiast droga poznania racjonalnego nie pozwala dotrzeć do istoty człowieka, która jest irracjonalna. Indywidualność człowieka jest irracjonalna, przytem zmienna. Dopiero proces wewnętrznej racjonalizacji indywidualności daje w wyniku stałą — osobowość. Biografja stara się ująć tę osobowość drogą fikcyjnej racjonalizacji. W ostatnim rozdziale autor porusza też obszerne zagadnienie wyrażania się osobowości twórcy w jego dziele.

Następują artykuły: „Z dziejów ruchu naukowego na Wołyniu w XIX wieku — Zbiory naukowe" — Jana Dobrzańskiego (autor omawia dzieje i zasoby zbiorów w Porycku, Bibljoteki Liceum Krzemienieckiego i Bibljoteki Młynowskiej), „Uwagi krytyczne o zjazdach naukowych" — Jana Rutkowskiego, „Życie naukowe współczesnego Lwowa" — Tadeusza Mańkowskiego, „Stan obecny nauki w Grecji" — Mieczysława Małeckiego, „Nauka a dążenia państwowe we Włoszech" — Bohdana Kieszkowskiego, „Obecny stan nauki w Rumunji" — Petre Sergescu, oraz „Nauka w Republice Litewskiej" — Michała Brensztejna.

Spośród artykułów, omawiających stan nauki w krajach zagranicznych, wyróżnić należy artykuł Bohdana Kieszkowskiego, który porusza zagadnienie stosunku nauki do dążeń państwowych. Autor podkreśla, że nauka we Włoszech, mimo licznych opinij przeciwnych, nie znajduje się w ucisku i upadku. Zależność między nauką a państwem nie ujawnia się w ograniczeniu zakresu badań, lecz w istnieniu jednego dominującego kierunku. „Nauka we Włoszech jest w stosunku funkcjonalnym do całości dążeń społecznych, kulturalnych i politycznych państwa" — mówi autor. Nauki humanistyczne i filozofja oparte są na pewnych założeniach doktrynalnych, które cechuje „italocentryzm".

Prócz artykułów tom XIX „Nauki Polskiej" zawiera obszerną „Kronikę Polską", „Kronikę Zagraniczną", recenzje oraz bibljografję naukoznawczą 1928—1930. J. GR.

JUBILEUSZ 60-LECIA URODZIN PROF. NITSCHA.

W niedzielę, 30.IX odbyła się w Krakowie niezwykle entuzjastyczna uroczystość — 60-lecia urodzin jednego z najznakomitszych językoznawców polskich profesora Uniwersytu Jagiellońskiego, Kazimierza Nitscha. Rolę jego i dzieło charakteryzuje doskonale Żeromski w „Snobizmie i postępie" i w „Przepióreczce".

Salę seminarjum jęz. polskiego Uniw. Jag. zapełnili tłumnie przedstawiciele nauki polskiej i obcej, uczniowie prof. Nitscha i publiczność krakowska. Obok niemal kompletu lingwistów polskich i dużej liczby uczonych, przybyłych na Zjazd slawistów, przybyli profesorowie Chrzanowski, Kutrzeba, Konopczyński, Willman — Grabowska, Kleczkowski i długi szereg innych, także małżonka jubilata znana autorka, Gruszecka — Nitschowa. Przemawiali w niezwykle serdecznych słowach, czcząc pracę i zasługę jubilata, prof. Rozwadowski imieniem kolegów, prof. Rudnicki imieniem uczniów najstarszych, prof. Kutrzeba imieniem Pol. Akad. Umiejętności., prof. Belić imieniem językoznawców obcych, prof. Lehr-Spławiński imieniem towarzyszów pracy, Jan Bielatowicz, prezes Koła Polonistów imieniem uczniów najmłodszych. Prof. Rudnicki wręczył jubilatowi księgę pamiątkową ku jego czci, którą stanowi XII tom czasopisma „*Slavia occidentalis*", opracowany przez uczniów prof. Nitscha.

Prof. Nitsch podziękował gorąco za serdeczną uroczystość. Mówił następnie, że miał w swem życiu szczęście w językoznawstwie. Niem byli jego profesorowie i uczniowie. Szczęściem jego było, że mógł studjować w Krakowie, gdzie wykładali trzej jego wielcy nauczyciele — prof. Malinowski, Baudonin de Courtenay „jeden z największych myślicieli na

polu językoznawstwa“ i Rozwadowski. On to „pchnął go w pewnej chwili do pracy naukowej”. Sam prof. Nitsch uznaje się raczej za pedagoga, ma zdolność oddziaływania na najbardziej początkujących uczniów. W zakończeniu podkreślił jubilat idealizm intelektualny młodych jego słuchaczy, którzy jako literaci lub jako nie mający bliskich widoków na stanowiska naukowe lingwiści biorą chętny udział w jego seminarjach.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W roku bieżącym ukazał się trzeci „Rocznik polityczny i gospodarczy”, opracowany przez Polską Ajencję Telegraficzną. Tytuł nie jest ścisły, gdyż rocznik podaje sporo informacyj także i z zakresu oświaty, kultury oraz wiadomości ogólne. Rocznik, jako informator przedewszystkiem z zakresu życia polskiego, jest potrzebny, a podając sporo wiadomości, które zawsze dobrze jest mieć pod ręką, spełnia naogół dobrze swoją rolę. Zwłaszcza dział oświaty i kultury, zajmujący stron 220, jest doskonałym przewodnikiem, bo podaje moc nazw, nazwisk i adresów. Wydawnictwo to zapełniło lukę, brakowało bowiem takiej podręcznej książki informacyjnej. Ale rocznik ten ma pewną wadę „od urodzenia”. Mianowicie rozplanowanie materjału i spis rzeczy tak są pomyślane, że nie zawsze jest łatwo znaleźć to, czego się szuka. A szybkość odnalezienia—to jest też jedna z najważniejszych rzeczy przy korzystaniu z takich informatorów. Bo gdy człowiek nie może prędko znaleźć, czego szuka, zniecierpliwiony rzuca „informator” z niechęcią. Tak pożyteczne wydawnictwo należy tylko ulepszyć, we własnym interesie, nie mówiąc już o interesie ogółu, korzystającego z rocznika. No i dział informacyjno-adresowy należy zawsze aktualizować, bo ludzie rezygnują, otrzymują dymisję, umierają wreszcie. (W.)

*

Związkom kulturalnym polsko-rumuńskim poświęcona jest broszura Emila Biedrzyckiego, nosząca właśnie taki tytuł, a wydana we Lwowie nakładem Ligi polsko - rumuńskiej w 1933 r. Autor przypomina, że wpływy kulturalne polskie szerzyły się w wieku XV i XVI za pośrednictwem Kościoła katolickiego i szkół (uniwersytet jagiolloński i szkoły jezuickie). W wieku XVII wpływy kulturalne polskie szerzą się naskutek związków rodzinnych arystokracji polskiej i rumuńskiej oraz wypraw wojennych polskich na teren dzisiejszych ziem rumuńskich (Sobieski). Następnie wpływy polskie odżywają pod koniec wieku XVIII i w wieku XIX, naskutek współdziałania patrjotów obydwu krajów, zmierzających do odzyskania niepodległości. Specjalną rolę odgrywa tu Mickiewicz i generał Bem. Po wojnie do szerzenia się wzajemnych wpływów kulturalnych przyczynia się sojusz wojskowy i polityczny. (J. P.)

*

Ścieżki, po których zdążamy ku doskonalszemu gestowi wewnętrznemu, mogą się wydać dziwnie powikłane dla tego, kto nie upatruje w nieprawdopodobnych nieraz dziejach nadprzyrodzonej interwencji...

I — nie do odcyfrowania są sprzeczności, w jakich zdaje się tonąć sens działań ludzkich: nienawiść — tam, gdzie winna zagościć miłość, pełna pietyzmu; namiętna pasja do rzeczy, wzgardzonych równocześnie wszystkiemi siłami najskrytszego „ja”.

Godne uwagi, że nienawidząc lub też kochajac na niepamiętne, z równą mocą duszy oddajemy się namiętności, której wspólnem źródłem — tęsknota, uwidoczniona w prostych słowach: — „Nie mówić nigdy: dotąd, ale nie dalej...”, ukrytej tendencji tych słów na każdym kroku przeciwstawia się skończoność i ograniczoność poznania.

Inna rzecz, że stosunkowo łatwiej u bliźniego wykryć splot niekonsekwencyj duchowych i — sztuka dla sztuki — wskazać niezawodną drogę zbawiennego rozwoju, niż zobjektywizować w ten sposób samego siebie. Tu miłość własna znajdzie tysiąc i jeden potrójnych kłamstw — argumentów obrony. To też poczuć w sobie „powołanie” do tego, aby „odełgać” wobec siebie i innych rzetelny styl duszy, tak, jak to uczuł Alain Forcas (w „Powrocie do Boga”, François Mauriac'a; W-wa, 1933; Biblj. Echa Polski), zdoła ten, komu lichotę powszedniego fałszu zakryło „...niezbyt wysokie wzgórze, krzyż ledwo od ziemi widoczny, przykryty przez ten odwieczny wir obelg, szyderstw i miłości; a dokoła przerażająca obojętność świata (ten gest, który trwa od stuleci: pchnięcie sztyletem w samo serce przez obojętną rękę)”.

Alain odnajduje Prawdę w zaraniu młodości, a choć laickie wychowanie domowe opóźnia moment wewnętrznego objawienia, nie stają mu na drodze konstytucyjne cechy jego psychiki — nie można tego powiedzieć o otoczeniu, żyjącem w niezdrowych oparach, emanowanych przez nieustępliwe chociaż skrzywione żądze.

Podobną sytuację rzadko spotykamy u Mauriac'a: w większości wypadków promień łaski dosięga tam zbłąkaną duszę po rozpaczliwej samoobronie, uświęcenie nie jest równoznaczne z poświęceniem bez reszty młodego ciała i świeżego serca.

Choć — dla ścisłości — ten sporadyczny wypadek nie jest jedynym w mauriac'owskiej kronice: przypomnijmy młodocianego nauczyciela-księdza z „Kłębowiska żmij”.

Taki pogląd podyktowała pisarzowi znajomość życia, wsparta wiarą w istnienie bożej iskierki nawet w straconej napozór duszy: Hervé poprzez miłość do matki odnajdzie — być może — drogę do swego dawnego ja, dającego inny obraz, niż w przekroju chwili obecnej, na którym rysowało się zamiłowanie do cudzego nieszczęścia, radość z upadku przyjaciela, bliska satysfakcji nałogowca, który nie sam wala się w błocie... (St. J.)

TEATR

„SEN NOCY LETNIEJ“ W TEATRZE POLSKIM

Z szekspirowskiego „Snu nocy letniej” pan Leon Schiller zrobił operę. Kazał aktorom i statystom śpiewać wiersze, które nawet w średniego gatunku przekładzie są czarujące, które jednak zupełnie nie nadają się do śpiewu. Przerabiając je na libretto musiano je oczywiście poskracać. W rezultacie poezja w nich zawarta (i tak już rozcieńczona przekładem) ulotniła się niemal bez śladu. Zastąpiła ją muzyczka. Ha, no — wcale ładna muzyczka. Słuchaliśmy jej gładko. Ale nie ulega najmniejszej wątpliwości, że więcej, bez porównania więcej zadowolenia dałaby nam deklamacja. Porządna, uczciwa deklamacja, dla której te wiersze zostały napisane. Do tej muzyki, jaką usłyszeliśmy ze sceny wystarczyłby przecież tekst Ludwika Germana. Napewno rymy t. zw. A. Własta skorzystałyby bardzo, gdyby je pod tak ładne melodyjki podłożono. Ale pocóż zacierać muzyką, nawet dobrą, sens wierszy mądrych i pięknych, którym wystarcza najzupełniej muzyczność własna i które się bez upiększenia dodatkowego znakomicie obywają? Odrobina akompanjamentu muzycznego oczywiście wierszom szekspirowskim by nie zaszkodziła. Ale akompanjament musiałby być bardzo dyskretny. Taki, żeby można było wyraźnie słyszeć wszystkie deklamowane słowa. A już rozdzielanie tekstu na chóry, robienie aryj — niema sensu. Za wiele tego dobrego. Pocóż dosypywać sacharyny do słodkiego wina?

Pozatem jesteśmy bardzo niezadowoleni z dekoracyj. Widywaliśmy „Sen nocy letniej” w rozmaitych: starych i nowych, tanich i kosztownych, tandetnych i artystycznych, realistycznych i fantastycznych, pseudo - ateńskich i pseudoelżbietańskich, ale nigdy dekoracje te nie przesłaniały nam Szekspira w tym stopniu, jak się go udało zasłonić dekoratorowi Teatru Polskiego, pomimo, że ograniczył się do postawienia na scenie czterech drzew i czegoś w rodzaju skały pomiędzy niemi. Olbrzymie te drzewa miały imitować las podateński, czy ardeński. Scena obrotowa kręciła się nieustannie i pokazywano nam te cztery drzewa z coraz to innej strony. Chciano nam wmówić, że widzimy coraz to inną część lasu. Ani rusz nie mogliśmy przy najlepszej woli uledz tej suggestji. Widzieliśmy przed sobą ciągle te same cztery drzewa z temi samemi zwracającemi uwagę charakterystecznemi konarami, z temi samemi dziuplami, z temi samemi pękami olbrzymich liści.

Od czasu do czasu wstawiano na scenę pomiędzy ogromne pnie to bramę miejską, to budki (coś w rodzaju żydowskich kuczek) rzemieślników ateńskich, to znów grotę Tytanji. Wszystko działo się w lesie. Jedność miejsca uwydatniono zbyt przesadnie. Ustawianie warsztatów rzemieślniczych w lesie było jaskrawym i wniebogłosy o korektę wołającym nonsensem. Kostjumy fantastyczne: częściowo pseudo-renesansowe (kochankowie i orszak Tezeusza) częściowo pseudo-antyczne (Hippolita i amazonki — chór girla-

sów wygolonych, opatrzona wizja z rewji „Morskiego Oka", czy też „Qui pro Quo"), częściowo wreszcie (rzemieślnicy ateńscy) średniowieczno - klowniczne: coś z błaznów cyrkowych i coś z figurek jasełkowych. W sumie bardzo jaskrawa i hałaśliwa miszkulancja. Najlepiej wypadł świat elfów Oberona i Tytanji ukostjumowany z Dulacowska po Rackhamowsku.

Ale świat ten zamało się wyodrębniał od świata ludzi. Hippolita i jej amazonki wyglądały na stwory równie fantastyczne jak Tytanja i jej elfice. Demetrjusz nie był bardziej realny, niż Oberon. Tyle, że z Oberona zrobiona czarnoskórego papuasa. Różnicę między postaciami fantastycznemi a postaciami realnemi należało stanowczo mocniej zaznaczyć. Różnica ta powinna bić widza w oczy. Tymczasem widz musiał się jej mozolnie doszukiwać.

Nieustanne kręcenie się sceny obrotowej, baletowe produkcje elfów, pochody rewjowe rozmaitych orszaków na szczyt skały umieszczonej na środku sceny i opatrzonej bardzo widocznemi schodami — wszystko to zabierało w widowisku daleko więcej miejsca i czasu, niż powinno. Było ponadto dosyć monotonne. Nużyło i nudziło.

Gdy się scena na chwilę zatrzymywała, widz oddychał i myślał sobie: no, teraz posłuchamy trochę Szekspira. Ale gdzie tam! Słuchaliśmy wówczas produkcji wokalnych chóru, albo kabaretowych dowcipów Dymszy. Jestem szczerym i gorącym zwolennikiem tego doskonałego aktora. W teatrzykach rewjowych, w których go widywałem, oklaskiwałem go bardzo głośno. Ale w „Śnie nocy letniej" nie miał on zbyt rozległego pola do popisu. Parę kawałów które dokomponował do komedji wypadło dosyć blado, wobec dowcipów szekspirowskich, które musiano poskracać. Przy Tuwimie Dymsza bryluje. Doskonale się obaj uzupełniają. Przy Szekspirze współpraca tego improwizatora wygląda znacznie mniej efektownie.

Niezłym Spodkiem był Kurnakowicz. Pan Kreczmar w roli Oberona — papuasa wyglądał znacznie ładniej, niż p. Daszyńska w roli Hippolity. Szkoda że tej amazonki nieco nie opalono lampą kwarcową. Jak na łowczynię, hasającą po świeżem powietrzu nago, była o wiele za blada. Okropne wrażenie robiła p. Kuncewiczówna w roli Tytanji. Biedactwo miało katar i pokaszliwało, a nielitościwy inscenizator kazał jej wylegiwać się kwadransami nago na zimnych kamieniach omszałej groty, w wilgotnych mrokach pełnego przeciągów lasu w pobliżu strumienia i bagien, od których ziało malarją rozwydrzoną.

W rezultacie przedstawienie zupełnie chybione, pomimo ogromnej staranności, z jaką je zmontowano. Duży nakład pracy zbyt pomysłowego inscenizatora, dekoratora i aktorów poszedł właściwie na marne. Osiągnięto rezultat sprzeczny z zamiarami. Chciano nas uraczyć komedją Szekspirowską, a komedję tę zeskamotowano mimowoli. Chciano nas oczarować poezją, a wyjałowiono widowisko z poezji doszczętnie. Chciano nam zrobić przyjemność, a znudzono nas i znużono.

Wiele osób na premjerze wyniosło się z teatru przed skończeniem spektaklu, nie doczekawszy się Tezeuszowego wezwania: „Kochankowie do łożnic!".

Towarzystwo Krzewienia Kultury Teatralnej nie ma stanowczo szczęścia. Co wystawi jaką sztukę — to *fiasco*. Pawlikowska w Nowym zrobiła klapę, Grubiński triumfu nie odniósł, Szekspir w Polskim — klapa. Powodzeniem cieszy się podobno sztuka Rapackiego w Letnim, ale za sukces artystyczny jej uważać niepodobna. Gdyby nie śliczny wiersz Miłaszewskiego, który rozbrzmiewa w Teatrze Narodowym i gdyby nie wyborna gra Węgrzyna w bynajmniej zresztą nie arcydzielnym, ale posiadającym walory sceniczne utworze Delavigne'a, publiczność warszawska nie miałaby w tej chwili na co chodzić. Jest wprawdzie jeszcze teatr Jaracza, a w nim podobno znakomicie grana „Moralność pani Dulskiej", ale to teatrzyk dzielnicowy, gnieżdżący się w niewygodnym lokalu na Mokotowskiej. Trzeba go szukać, żeby go znaleźć gdzieś w głębi podwórka czynszowej kamienicy. Poszukać napewno warto, ale czy to na stolicę wielomiljonowego narodu, stolicę państwa o ambicjach mocarstwowych nie zamało?

Jakże niedawne są czasy, kiedy mieliśmy kilka znakomitych teatrów. Teatrów, których nam cudzoziemcy zazdrościli, kiedy o warszawskich przedstawieniach rozpisywały się z zachwytem gazety europejskie. Trudno uwierzyć, że w przeciągu dwu lat panu Kadenowi udało się tak piękny dorobek, przy pomocy stosunków jakie miał w sferach rządowych, zniszczyć niemal całkowicie.

ZASTĘPCA

MUZYKA

NAJCIEKAWSZEM wydarzeniem muzycznem ubiegłego tygodnia były bezwątpienia trzy wieczory Alfreda Cortot, który dał recitale fortepianowe, poświęcone Chopinowi, Schumannowi i Lisztowi, poprzedzone prelekcjami wyjaśniającemi stosunek artysty do tych trzech kompozytorów.

Cortot wyszedł z założenia, że wszyscy trzej są najznakomitszymi i najbardziej typowymi reprezentantami romantyzmu muzycznego i tych cech romantycznych doszukiwał się w nich przedewszystkiem. Za najbardziej charakterystyczną poczytywał subjektywizm, egotyzm a nawet egoizm, ten, jak się wyraził, „egoizm wspaniały" Chopina, w przeciwstawieniu do altruizmu Beethovena. Dlatego muzyka romantyczna nie miała jak dawniejsza słuchaczów, ale raczej powierników; stąd wniosek uprawniający do najintymniejszego kontaktu, stąd płynący równie wyraźnie subjektywny charakter tego kontaktu. To też prostą konsekwencją już jest taka interpretacja grającego, jaką chce dać, bez względu na tradycję.

Czy doszukiwanie się przedewszystkiem cech romantycznych jest słuszne? Chopin np. był niewątpliwie przejawem swojej epoki, tej, w której żył i tworzył. Forma jego twórczości nosi przecież wszelkie znamiona tamtych czasów. To jednak założenie, z którego wyszedł Cortot, nakazywało raczej przejść ponad stroną formalną, ażeby tembardziej dotrzeć do samej istoty rzeczy; nie należało być słuchaczem, ale właśnie powiernikiem. Wówczas wyczuje się wyraźnie różnice, dzielące tych twórców, i ukaże się nam skala wielkości każdego z nich. I przekonamy się, że Chopin jest bardziej wieczny, aniżeli romantyczny, że Schumann jest najbardzie może charakterystycznym typem zapaleńca awangardowego, a Liszt schyłkowym, niejako barokowym przejawem swych czasów.

Chopina zilustrował artysta sonatami. Sonatę *b-moll* grał zbyt nerwowo, tracąc przez to tak niezwykle mocny jej wyraz. Nerwowość tę odczuwało się zresztą wszędzie, szczególnie wyraźnie w drugiej rapsodji Liszta.

Nie wiem, czy nerwowość ta była celową, czy nie. Czy był to środek ekspresji, doszukiwanie się właśnie cech romantycznych, pewnej owoczesnej manjery? Wątpię, gdyż artysta szukał osobistego kontaktu, a nie starał się powtarzać starych, „utartych", a choćby nawet tylko „stylowych" interpretacyj. Świetnie wypadła pierwsza część sonaty *b-moll*, zarówno *largo* i *finale* sonaty *h-moll*, gorzej natomiast obydwa *scherza*.

Najbardziej prawdziwym w odtwarzanej trójcy kompozytorów był Schumann. Dwa cykliczne jego utwory: „Sceny dziecięce" i „Karnawał" dały pianiście całe mnóstwo możliwości, wyzyskanych prawdziwie po mistrzowsku. Bodaj że to była najdobitniejsza ilustracja jego prelekcji. Słyszeliśmy Schumanna romantyka, romantyka typowo niemieckiego, zaprawionego dużą dozą sentymentalizmu, którego się tak stanowczo wyrzekał. Powie ktoś, że sentymentalizm nie był

najistotniejszą cechą romantyzmu, a jednak bezwątpienia i w nim tkwi jego początek. Romantyzm heroiczny to był szczyt, który nie powstał odrazu i który najszybciej się skończył, podczas gdy czułostkowość pozostała jeszcze na długo.

W doskonałem świetle przedstawił nam Cortot Liszta. Wydaje mi się, że w tej interpretacji, która wywołała tyle widocznych zastrzeżeń, było jednak bardzo dużo prawdy. Liszt to nie tylko „klasyczny" wirtuoz, to nie tylko olśniewające zgromadzenie zdobyczy technicznych, zbędnych nieraz, niepotrzebnych. Nieszczerym może Liszta uczynić każdy interpretator, a przecież romantyczną w Liszcie jest przedewszystkiem jego osobowość, a nie tak charakterystyczna dla epoki wirtuozja. Tragedją artysty było to, że środki wyrazu zabijały u niego sam wyraz.

I o tem trzeba pamiętać. Dlatego stosunek do niego Cortot'a wydaje mi się najbardziej uczciwy.

W. NARUSZ

FILM

CAPITOL: „Czy Lucyna to dziewczyna", reż. Gardan.
W porównaniu z przeciętnym poziomem zeszłorocznej krajowej produkcji — znaczny krok naprzód. Lecz największą i najsympatyczniejszą zarazem niespodzianką jest nie—taka, lub inna—różnica poziomu, tylko zmiana ogólnego tonu, jaki cechował dotychczas nasze filmy. *„C'est le ton, qui fait la chanson"* i trzeba przyznać, iż ten właśnie dotychczasowy ton nadawał „wyrobom" krajowym piętno niedwuznacznej ordynarności. W „Lucynie" mamy sceny lepsze i gorsze, obok fragmentów żywych są i punkty martwe (tych ostatnich niewiele), ale żadna, najsłabsza nawet w wyrazie scena n i e r a z i. Momenty, nie wykazujące inwencji reżyserskiej, są przynajmniej z pewną kulturalną ogładą podane, powściągliwe i dyskretne w efektach. Wykaraskanie się, nareszcie naszego filmu z tej, powiedzmy otwarcie, chamskiej atmosfery jest objawem nader pocieszającym.

Przejdźmy do treści. Pani Smosarska występuje tu w podwójnej roli, chłopca i dziewczyny, a właściwie dziewczyny, która w pewnych okolicznościach gra chłopca. Ten pomysł odświeża filmowy typ znanej aktorki: w spodniach jest pani Smosarskiej bardzo do twarzy i jeżeli Bodo (na filmie) nie chce się domyślić, że ma przed sobą przebraną kobietę, to zapewne dlatego. Przebranie i wynikające stąd nieporozumienia dają okazję do wielu zabawnych pomysłów, nie wszystkie wyzyskano dostatecznie.

Akcja nie utyka, fabuła rozwija się dobrze, zwłaszcza w pierwszej połowie filmu, jednocząc następujące po sobie sceny; dopiero pod koniec mamy moment pewnego zastoju. Tu właśnie można spostrzec pozostałości dawnych nawyków: w scence z pijaną parą (Ćwiklińska i Grabowski), lecz jakże już ściszonej! Przez stosunkowo częstą zmianę treści wizualnej ekranu film zyskał również, niedostaje mu — mojem zdaniem—jedynie na rytmice, która powinna cechować komedje nietylko muzyczne. Djalogi także daleko inteligentniejsze, oczyszczone już zupełnie z głupawych dowcipasków, mimowolnych szmoncesów i sieczki.

W roli charakterystycznej Bodo czuł się daleko lepiej, niż poprzednio we fraku, jako zawodowo przystojny typ, ulubieniec bogów i kobiet.

ADRIA: „Gra zmysłów" reż. A. Litwak.
Jeden z mocniejszych filmów, jakie zdarzyło mi się widzieć w ostatnich czasach. Z początku, śledząc rozwój akcji i obserwując niebywałą, zwłaszcza w filmie dźwiękowym, ruchliwość ekranu, sądziłem, iż zalety tego utworu tkwią raczej w jego stronie formalnej. Lecz dalszy tok wyobrażanej treści przekonał mnie, że i sens wewnętrzny filmu nie ustępuje bynajmniej jego walorom plastycznym. Jest to tembardziej godne zaznaczenia, gdyż reżyser wysnuł swą subtelnie, a zarazem niesłychanie lapidarnie skonstruowaną opowieść, z historyjki napozór zwykłej, niemal o miedzę graniczącą z banałem.

Niemłody lekarz, znakomity uczony i bardzo bogaty człowiek wyławia z budy jarmarcznej młodą dziewczynę, dość rozhukane i (z początku) bezduszne zwierzątko. Otacza ją zbytkiem, kształci, dba o jej rozrywki. O co mu chodzi? Czy to jest miłość spóźniona i dziwaczna? Zdaje się, że nie. Czy może chęć zadowolenia erotycznych zachcianek? I to nie; uczony wobec młodej kobiety jest niesłychanie powściągliwy i zupełnie na miejscu. A może próba, doświadczenie uczonego dla celów naukowych? Z pewnych aluzyj sądzimy, że tak. Ale co mogłoby frapować mądrego, starszego lekarza w tak nieskomplikowanym psychicznie organiźmie? Podejrzewamy, iż doświadczenie, którego chce dokonać uczony, dotyczy raczej jego samego. W sercu jego (domyślamy się) drzemie chęć (mniejsza o to, czy rozsądna), chęć przekonania się, czy może być jeszcze pokochany przez młodą i piękną kobietę. Pokochany poprostu, jako mężczyzna. Wprawdzie obok siebie ma miłość wierną, swojej asystentki, kobiety niemłodej i brzydkiej. Ale to co innego. Tamta miłość winna zadecydować, czy bezpowrotnie ma odejść w starość.

Zestawienie prymitywnej i wybuchowej natury młodej kobiety, z niesłychaną kulturą opanowywania uczuć lekarza jest b. ciekawy i niebanalne. Jego spokój wobec wielu ludzkich odruchów ma w sobie coś z obelgi. Jego tolerancja, brak normalnie oczekiwanej reakcji, w wypadkach, które — zdawałoby się—powinny wywołać jego sprzeciw, doprowadzają do wściekłości, zbijają z tropu.

Jednocześnie lekarz pracuje nad wynalezieniem pewnego środka leczniczego. W tych dwu poczynaniach przegrywa osobiście, jako człowiek, wygrywa, jako uczony.

Montaż filmu pierwszorzędny. Tempo wspaniałe. Szereg scen do głębi przejmujących. W roli lekarza znakomity tragik, Harry Baur.

KANDYD

ZMARLI

† KS. KAZIMIERZ WAJS

W ROKU BIEŻĄCYM (8.VII) zmarł jeden z najwybitniejszych przedstawicieli neoscholastyki w Polsce, ks. Kazimierz Wajs. Urodzony w r. 1865 pod Rymanowem, po ukończeniu gimnazjum w Jaśle i seminarjum w Przemyślu, studjuje filozofję na różnych uniwersytetach zagranicznych, uzyskując doktorat w Gregorianum. Mianowany następnie profesorem w seminarjum w Przemyślu, powołany został w r. 1909 przez wydział teologiczny uniwersytetu lwowskiego na katedrę filozofji chrześcijańskiej i apologetyki; od r. 1911, z powodu utworzenia specjalnej katedry apologetyki wykłada wyłącznie filozofję. Na uniwersytecie piastuje szereg godności, aż do rektoratu w latach 1917/18 włącznie. W r. 1929 przechodzi na emeryturę z tytułem profesora honorowego.

Działalność ks. K. Wajsa wypadła na czasy, w których ruch neoscholastyczny, rozwinięty już znacznie na Zachodzie, zaczął się przyjmować i na ziemiach polskich. W dużej mierze Jego jest zasługą utrwalenie się i rozwój tego prądu u nas; filozofja neoscholastyczna zyskała w nim świetnego propagatora, który potrafił wpoić jej zasady w swych uczniów, a swemi pracami znacznie się przyczynił do jej popularyzacji wśród polskiego społeczeństwa.

Główne dzieła ks. Wajsa („P s y c h o l o g j a", 4 tomy, 1902 — 5; „K o s m o l o g j a o g ó l n a", 1907; „O n t o l o g j a", 1926; „B ó g, J e g o i s t n i e n i e i i s t o t a", 1930; „K o s m o l o g j a s z c z e g ó ł o w a", 2 tomy, 1931 — 2) stanowią jakby systematyczny kurs filozofji neoscholastycznej, obejmujący prawie wszystkie jej działy, z wyjątkiem logiki i teorji poznania. Wartość naukowa zarówno dzieł przytoczonych, jak i licznych rozpraw oddzielnych, poświęconych różnym specjalnym zagadnieniom, nie jest jednolita; wzrasta ona z latami. Za najcenniejszą pracę można uważać Jego „O n t o l o g j ę", która, jak i ostatnia książka, „K o s m o l o g j a s z c z e g ó ł o w a", dzięki nagromadzonemu z ogromną erudycją materjałowi i samedzielnym badaniom autora, wykracza daleko poza zakres zwykłych podręczników. Ks. Wajs był zdecydowanym wyznawcą filozofji tomistycznej, starał się jednak zawsze uwzględniać w jaknajszerszej mierze w swej pracy naukowej wszystkie zdobycze współczesnej wiedzy. Jego stanowisko filozoficzne najbardziej się zbliżało do kierunku, reprezentowanego w neoscholastyce przez kard. Mercier'a (którego był ongiś uczniem) i szkołę lowańską.

Ks. Wajs jest jednym z tych ludzi, którzy położyli trwałe podstawy pod rozwój neoscholasyki w Polsce; dzięki temu też zajmie on trwałe miejsce w historji polskiej filozofji.

LAMBDA

OFENSYWA

WALORY DE VALERY

JAKO jedna z najpiękniejszych postaci historycznych tych czasów, dosłownie przełomowych pozostanie na zawsze, na wieki wieków amen Eamon de Valera. Mowa, którą wygłosił w tej pół-kalwińskiej, pół-czerwoniastej Genewie do areopagu tych pre-miernot, kakanclerzów, seministrów, i mieszanki czy śmietanki *journaille* z obu hemisfer, pozostanie już w kronikach otępiałej i dygocącej przed nagazowaniem ludzkości jako dostojny dokument odważnej obrony cywilizacji chrześcijańskiej. W imieniu Rzymu przemówił nie żaden Rzymianin, ale Irlandczyk, rządzący ziemią Celtów.

W atmosferę lekko już cuchnącego mumiami oportanizmu, ku twarzyczkom roześmianym i rozbawionym tym groteskowym apokaliptyczno spektaklem w cynizmie swym bezkonkurencyjnym padły słowa krótkie, ważkie, mocne i bezkompromisowe. Wygłaszał je niezwykle chudy, długi dziwaczny mężczyzna o wyglądzie pono profesora botaniki w sylwecie podobny do belgijskiego baloniarza stratosfernika, noszący hiszpańskie nazwisko.

Patronessa, jak zawsze wyondulowana, wyszminkowana, wymakilarowana, zgrzybiała „platynowa blondynka" przyjmowała do swego salonu, a nieco raczej *saloonu* nowego fortancera czy żygolaka: — Jedni goście mlaskali, drudzy klaskali, a człowiek o wyglądzie belfra — okularnika wypowiedział swoje... Bezwyznaniec objaśniał, że *tout s'arrange* a katolik jeden jedyny jednak stwierdził, że to nie ze wszystkiem tak cudnie i że jeszcze mogą być komplikacje i płacz i zgrzytanie spróchniałemi zębami i żal poniewczasie i zwalanie winy z jednych na drugich. Jako żywo, widowisko było niezmiernie pouczające, zwłaszcza dla tych wszystkich, co szukali w *etablissement* genewskiem autorytetu moralnego, mającego odrodzić Ludzkość. Jakżeż to teraz daje się odczuwać brak takich (śmiesznie mówić) „wieszczów" jak... Krasiński i takich komedyj jak „Nieboska"!

W każdym razie trzeba sobie teraz przypomnieć, kto zacz de Valera i jakie jego walory w ojczyźnie, której znak Trójliść koniczyny.

Początki były bardzo na czerwono. Aby niezależność Zielonemu Erynowi wywalczyć nie mogło być inaczej, jak nie na czerwono. O tych początkach dużo nam opowiadał ś. p. Kazimierz Markiewicz, którego żona, ś. p. Konstancja akuszerowała cały czas przy porodzie tej niepodległości, ma tam pomnik po śmierci i jest czczoną ogólnie jako bohaterka. Tradycje niepodległościowe były bardzo stare ale i bardzo zadawnione. Ileż ofiar, ilu bohaterów, jakie hekatomby! Głównie gniotła i prześladowała Wszechmocna Anglja za katolicyzm, za św. Patryka. *Home-Rule* to znaczyło *Rome-Rule*. Szły rewolucje za rewolucjami i bunty i egzekucje i terror omal gorszy od rosyjskiego w Kongresówce i na ziemiach „zachodnich". Wszyscy bohaterzy byli rdzenni, Keltyccy, aż do ostatnich Collinsa i zamordowanego pierwszego prezydenta Higginsa (1926). Dopiero de Valera był synem Hiszpana i Irlandki, a że podobnie brzmiące nazwisko nosi także rodzina marranów hiszpańskich de Valero, więc go całe lata pomawiano o żydostwo, tak, że wreszcie, ale dopiero teraz, w tym roku czuł się zmuszony dać do prasy uroczyste zaprzeczenie i stwierdzenie, że nic z żydami nigdy nie miał wspólnego i żadnego żydostwa w rodzie. Niestety jednak w najbliższem otoczeniu był taki przyjaciel Masynissa (jak często) izraelit Robert Briscoe, który go w pierwszych latach suggerował i pchał w kierunku reform omal że komunistycznych, z czego potem opozycja korzystała, dyskredytując „dyktatora" w opinji ściśle katolickiej społeczności. Ten to Briscoe jest zdaje się protatypem postaci Leopolda Bluma z powieści „Ulisses" Joyce'a. Dziś już zresztą całkowicie zlikwidowany.

Dwa lata temu de Valera, ongiś raczej bezwyznaniowy, już brał udział w Kongresie Eucharystycznym, zeszłego roku był dłużej w Rzymie przyjmowany w Watykanie, a świeżo teraz w Genewie wypalił piękne *verba veritatis*, ratując nadszarpany honor i ambicję Wilsonowskiej instytucji. De Valera prze swój naród do pełnej niezależności, obciążając go coprawda ciężkiemi ofiarami i zrzeczeniami materjalnej i ekonomicznej natury, gdyż Angla za karę nie chce brać ani ziemniaków (*potatoes*) ani wieprzków, ani sadła, jaj, masła i t. p. Rewanżując się znów, Irlandja nie bierze angielskiego węgla.

Dobrze na tej separacji i rozwodzie od stołu i łoża boleści Erynu z Johnem Bullem wychodzi inne państwo, z katolicką cywilizacją związane „przedmurze", to jest Polska. Mieli więc niejako dobre przeczucia dalekiej przyszłości ci nieliczni, co już 30 lat temu starali się opinję w Polsce zainteresować tym... nieznanym... żołnierzem... Rzymu.

Eksport nasz do Irlandji wzrósł ostatnio ośmiokrotnie. W roku 1931 wywoziliśmy tam za 61 tysięcy funtów, w roku 1933 już za 487.000 funtów... Ci więc, co materjalistycznie i gospodarczo myślą, już tego względu powinni z pełną sympatją odnosić się do Fianna Fail, do Koniczynki i do bohatera narodowego o imieniu Eamon. Innym znów imponować musi stanięcie de Valery w pozycji: *unus defensor Mariae* to jest rzecznika całego aryjskiego świata, na co bezbrzeżną pogardą zareagował u nas p. U. Szwalbe, podkipawając z wtrącania się „małych państw", „małych narodów"... Oni są zawsze tylko z wielkimi...

To też do tamtejszych „koszul niebieskich", awanturujących się dla „ideału" zależności od anglikańskiego Albionu, passjonować się jest wprost niemożliwością. Z radością też przeczytało się, że generał O. Duffy wycofał się z tego niewyraźnego interesu. Sympatje nasze są całkowicie po stronie tego wysokiego pana w okularach. *Erin go bragh*!

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Dzienniki rozniosły telegraficzną wiadomość z Budapesztu o skandalu, jaki tam wynikł. Policja doszła, że na czele bandy rozbójników stał b. wydawca dziennika „*Deli Hirlap*", ceniony w towarzystwie, p. W. Bartha.

Naiwne Węgry! Jeśli p. Bartha chciał założyć pismo specjalne w rodzaju „Tajnego detektywa", to przecież musiał odbyć wszechstronną praktykę. Jakże inaczej?

*

Ale i u nas są jeszcze przesądy. Chcianoby mieć w parlamencie dobrych znawców przemysłu i handlu. Niechże jednak który poseł czy senator weźmie się na serjo do praktyki, dajmy na to, w Żyrardowie, robi się skandal.

To ma być „sanacja"!

*

Jak to zmieniają się... punkty widzenia!.. Delavigne, zacny liberał z przed stu lat, chcąc odmalować tyranję Ludwika XI, umieszcza w swoim dramacie scenę, w której lud na jarmarku w wymownych słowach wyrzeka na ucisk i zdzierstwo ze strony urzędników, na krzywdy, jakie ciągle musi znosić, na niewolę...

A publiczność, przysłuchująca się dzisiaj tej scenie, szepce cichutko do siebie: „Jakaż swoboda panowała w tej Francji w wieku XV, jeśli tak można było krytykować rząd po jarmarkach, mówić głośno, publicznie co się myśli, a wśród tłumu nie mieć ani jednego... konfidenta!"...

*

Częstochowska „Gazeta Narodowa" (nr. 44) doniosła, że gdy w Wieluniu miejscowi harcerze chcieli odegrać sztukę sceniczną „Cud nad Wisłą", starosta tamtejszy, p. Niżankowski zgodził się na to pod warunkiem, że sam przeprowadzi korektę tekstu.

Oto zaś jedna z owych poprawek: słowa „...ż y d przy wojsku to szpieg albo dezerter", zastąpione zostały wyrażeniem ogólnem: „z n a j d u j ą s i ę bolszewicy, szpiedzy, dezerterzy"...

Zapewne, to bardziej „państwowościowo", ale czy praktyczniej?... Bo słuchacze, wiedząc o takiej cenzurze, ile razy usłyszą ze sceny o szpiegach i dezerterach, odrazu stukną się w głowę i pomyślą: „Aha, rozumiemy już, to napewno musiała tutaj być mowa o żydach"...

*

Żydowski „Nasz przegląd" skarży się, że w Rydze, na wystawie rolniczej, „naprzeciwko siebie są umieszczone dwa kioski mleczarskie, jeden wzorowo czysty i estetycznie udekorowany, z napisem: „Tak wygląda łotewskie gospodarstwo mleczarskie", drugi zaś kiosk brudny, z napisem: „To jest żydowskie gospodarstwo mleczarskie".

I w Warszawie jest właśnie wystawa: „Mleko dla wszystkich", pod protektoratem osób wysoko postawionych... Tylko u nas kioski takie uznanoby za „antypaństwowe"... A cóż znaczy, wobec „interesu państwowego", taki drobiazg, jak np. dbałość o hygjenę obywateli i przestrzeżenie ich przed brudem żydowskiego kramarza....

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM